BIBLIOTEKA

● PROGRAM TV NA TYDZIEŃ ● DOWÓDCA DYWIZJONU 303 DLA „RELACJI" ● Skok na plebanię ● Krew na arenie ● Lubelscy „Cichociemni" ● Przecieki z „Guardiana" ● Dyktatorzy ● ZŁOTA LEGENDA KALICKICH ● Kurs podatkowy ● Taxi - kombajn

TYGODNIK WSCHODNI

PL ISSN 0660-8820

relacje

LUBLIN, 11-17.01. 1990R. NR 2(52) CENA 350 ZŁ

„Pochodzę z Lubelskiego. Z Lubelszczyzną związane były rodziny mojego ojca i matki"

WYZNANIE ORŁA

Rozmowa z pułkownikiem pilotem Wojciechem Kołaczkowskim, byłym dowódcą Dywizjonu 303

— Ilu was zostało? Pilotów Dywizjonu 303, jego dowódców?

— Mało. Coraz mniej. Z samodzielnych dowódców żyje nas tylko czterech: Witold Łokuciewski w Polsce, Jan Falkowski w Kanadzie, Bolesław Drobiński w Anglii, no i ja, w Stanach. Wszystkich pilotów naszego dywizjonu żyje chyba już tylko dziewięciu. Czas nas nie oszczędza.

— Którym z kolei dowódcą był pan pułkownik?

— Dywizjon 303 miał dwunastu samodzielnych dowódców. Miał też, w początkowej fazie istnienia, trzech polskich dowódców dublujących dowódców angielskich. Po prostu nie znaliśmy języka, a cała łączność odbywała się w języku angielskim. Kiedy opanowaliśmy angielski, dowodziliśmy samodzielnie. Jeżeli o mnie chodzi, to byłem piątym samodzielnym dowódcą, od 20 listopada 1941 roku do 6 maja 1942 roku.

— To długo czy krótko?

— W myśl regulaminu RAF, pilot i dowódca po odbyciu 50 lotów bojowych musieli iść na odpoczynek. Co pół roku następowała rotacja dowódców. U mnie jedno zbiegło się z drugim. Niestety, nie wszystkim kolegom dane było zaliczyć pełną turę półroczną. Jeżeli jednak odchodzili wcześniej, to zawsze w wyniku zestrzelenia i związanych z tym konsekwencji: śmierci lub ran.

— Kiedy rozmawia się z pilotami-myśliwcami nieuchronnie musi paść pytanie o liczbę zestrzelonych samolotów. Czy sądzi pan, panie pułkowniku, że taki czas już nadszedł?

— Pan prowadzi rozmowę, a ponadto jest gościem mego domu. Każde pytanie jest dobre i żadna pora nie jest zła, skoro zgodziłem się na to interview... Mam na koncie cztery zestrzelenia pewne i kilka prawdopodobnych. Nie jest to dużo w porównaniu z naszymi asami: Skalskim, Zumbachem, Horbaczewskim, Urbanowiczem.

— Pan jednak nimi dowodził... W jakiś sposób kształtował.

— Istotnie, w różnym czasie nimi dowodziłem. Stasiem Skalskim jednak nie w Dywizjonie 303, a w Wingu nr 1. Ja byłem dowódcą wingu (skrzydła), a Staś dowodził Dywizjonem 317, który wchodził w skład wingu. Nie przesadzałbym z tym kształtowaniem. Może miałem jakiś wpływ na rozwój „Dziubka" Horbaczewskiego, jako myśliwca. Trafił do dywizjonu, kiedy stacjonowaliśmy w Speake'u pod Liverpoolem i był w mojej eskadrze. Był więc moim uczniem. Po wyjściu z dywizjonu dostał przydział do wydzielonej eskadry Skalskiego walczącej w Afryce, do słynnego „cyrku Skalskiego". Potem dowodził Dywizjonem 315 i, jako dowódca, poległ w locie bojowym nad Francją. Nie przesadzę, gdy powiem, że był on najzdolniejszym absolwentem słynnej trzynastej promocji Szkoły Orląt, promowanej w przededniu wojny.

— Panie pułkowniku, czy można mówić o prostej zależności pomiędzy predyspozycjami myśliwskimi i dowódczymi? Czy każdy as musi być dobrym dowódcą? Czy dowódca musi być asem?

— Trudno jest odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Z kilkuset absolwentów każdego rocznika tylko kilku zostawało dowódcami. Na pewno nie był to jakiś przypadek, a efekt selekcji i kwalifikacji. Zadaniem dowódcy jest sprawne i efektywne kierowanie operacją i wykonanie postawionych zadań. Jeżeli za dowódcą leci dywizjon, czy kilka dywizjonów, w przypadku wingu, to trzeba myśleć o wszystkim, a nie uganiać się za jedną czy dwiema maszynami wroga. Okazji do bezpośrednich pojedynków ma dowódca znacznie mniej, a więc i mniej okazji do zestrzeliwania. Oczywiście nie wyobrażam sobie sytuacji, żeby dowódca nie miał kwalifikacji myśliwskich.

Wojciech Kołaczkowski jako dowódca Dywizjonu 303. Northolt, koniec 1944. Fot. Jan Hausbrandt

Można natomiast z powodzeniem być asem, nie mając zmysłu dowódczego.

Wracając do liczby zestrzeleń chciałem powiedzieć, że mieli ich najwięcej ci, którzy brali udział w bitwie o Anglię, od sierpnia do października 1940 roku. Wtedy od samolotów niemieckich roiło się w powietrzu, i to one operowały nad terenem wrogim, a więc w trudniejszej dla nich sytuacji. Moje dowodzenie obejmowało inny zupełnie okres, a moja obecność w dywizjonie rozpoczęła się w listopadzie 1940 roku. Nie miałem po prostu takiej okazji do zebrania myśliwskiego żniwa, jak koledzy.

Ciąg dalszy na str. 4

relacje

ZE ŚWIATA

✦ Z polskiego statku ms. „Bolesław Krzywousty", płynącego z Port Sudan do Massawy w Etiopii zniknęła załoga. Z oświadczenia rzecznika Frontu Wyzwolenia Erytrei wynika, że statek ten, wraz z ms. „Asnyk" został wcześniej ostrzelany przez partyzantów erytrejskich. Rzecznik stwierdził, że atakowane będą wszystkie statki przewożące broń dla armii etiopskiej. Władze polskie oświadczyły, że „Bolesław Krzywousty" przewoził tkaniny i ceramikę. Los załogi nadal jest nieznany.

✦ Generał Manuel Noriega, przebywający od dłuższego czasu w misji watykańskiej w Panamie, oddał się w ręce Amerykanów. Został przewieziony do USA, gdzie rozpoczął się jego proces. Zarzuca mu się udział w handlu narkotykami na wielką skalę. Grozi mu kara więzienia 145 lat. Były dyktator Panamy pełnił funkcję szefa wywiadu i współpracował z CIA, kierowaną w tym czasie przez George'a Busha.

✦ W trakcie głosowania nad rezolucją ONZ, potępiającą interwencję USA w Panamie, Polska wstrzymała się od głosu.

✦ Pierwszą wizytę zagraniczną złożył nowy prezydent Czechosłowacji Vaclav Havel - w obu państwach niemieckich. Zdaniem komentatorów jest to podróż do Niemiec, a nie do NRD i RFN.

✦ Vaclav Havel oświadczył, że możliwe jest wystąpienie strony czechosłowackiej z przeprosinami wobec przesiedlonych Niemców sudeckich. Na skutek licznych protestów informacja ta została zdementowana.

✦ Minister spraw zagranicznych ZSRR Eduard Szewardnadze, jako pierwszy tej rangi dyplomata, złożył oficjalną wizytę w Rumunii. Obiecał nowym władzom rumuńskim dostawy gazu i ropy naftowej, koniecznych do przetrwania zimy.

✦ Aresztowano 60 najbliższych współpracowników Nicolae Ceausescu. W Bukareszcie odbyły się demonstracje, których uczestnicy protestowali przeciwko obecności komunistów w rządzie.

✦ Telewizja rumuńska pokazała reportaż z muzeum, jakie ku swej czci wystawił Ceausescu. Zgromadzone eksponaty miały świadczyć o licznych przymiotach i geniuszu literackim, artystycznym i naukowym posiadacza wielu orderów, nagród i doktoratów honoris causa. Nicolae Ceausescu z zawodu i wykształcenia był szewcem.

✦ Po wydaniu decyzji rządu Petyra Mładenowa przywracającej równe prawa wszystkim narodowościom w Bułgarii, doszło do licznych manifestacji antytureckich. Utworzony przez nacjonalistów bułgarskich Komitet Obrony Interesów Narodowych domaga się natychmiastowego referendum w sprawie mniejszości narodowych. Wznoszono hasła: „Bułgaria dla Bułgarów".

✦ Szef dyplomacji południowoafrykańskiej P. Botha odwiedził Węgry.

✦ Wzdłuż 800-kilometrowej granicy irańsko-radzieckiej doszło do potężnych demonstracji Azerbejdżan, domagających się likwidacji granicy i utworzenia Wielkiego, niepodległego Azerbejdżanu. Radzieckie jednostki pograniczne okazały się bezradne. Skierowano tam dodatkowe oddziały wojska. Armia irańska została postawiona w stan pogotowia.

✦ Komunistyczna Partia Litwy podjęła decyzję o wystąpieniu z KPZR. Michaił Gorbaczow odwołał zapowiadaną wizytę w Wilnie. Odwołano również wszystkie moskiewskie rozmowy dyplomatyczne, w których miał uczestniczyć przywódca ZSRR.

✦ Rzecznik radzieckiego MSZ Giennadij Gierasimow oświadczył, że Moskwa nie użyje siły w stosunku do republik nadbałtyckich w wypadku wystąpienia w federacji radzieckiej.

✦ Władze Albanii deportowały do obozów pracy uczestników akcji protestacyjnej w mieście Szkodra. Operacja miała wyjątkowo brutalny charakter. Oświadczono oficjalnie, że socjalizm w Albanii ma się dobrze.

✦ Rząd węgierski zamierza oddać państwowe linie lotnicze „Malev" w ręce prywatne. Są już pierwsi oferenci.

✦ Przesłuchiwany przez komisję parlamentarną były sekretarz generalny KC KPCz Milosz Jakesz przyznał, że ponosi odpowiedzialność polityczną za masakrę studentów na Placu Wacława w Pradze w dniu 17 listopada 1989 roku.

✦ Część członków Francuskiej Partii Komunistycznej domaga się natychmiastowego zjazdu partii oraz dymisji kierownictwa FPK, które — ich zdaniem — było zbyt silnie powiązane z reżimem Ceausescu. Przywódca FPK George Marchais oświadczył, że ten sam zarzut postawić można również francuskiemu rządowi.

✦ Po 42 latach ukrywania się w lesie przed NKWD i KGB powrócił do rodzinnej wsi koło Brześcia obywatel radziecki Iwan Buszko, bohater ostatniej wojny.

relacje

Z KRAJU

✦ Rozpoczął się drugi tydzień realizacji planu gospodarczego wicepremiera Leszka Balcerowicza. Nastąpił drastyczny wzrost cen. Zakładana na styczeń inflacja ma wynieść 45 procent. Jednakże przewiduje się, iż już w lutym nie będzie większa jak kilkanaście procent.

✦ Rząd planuje likwidację wszystkich pracowniczych przywilejów, ulg, zniżek i deputatów. Oblicza się, że 34 proc. płac nie miało żadnego związku z efektami, a jedynie z miejscem wykonywania pracy.

✦ Średnia płaca w 1990 roku ma wynosić ok. 800 tys. — 1 mln zł.

✦ W Gdańsku trwa głodówka czterech osób domagających się kategorycznej decyzji o zaprzestaniu budowy elektrowni atomowej w Żarnowcu. Stan zdrowia głodujących jest bardzo ciężki.

✦ Lech Wałęsa spotkał się z reprezentantami opozycyjnych ugrupowań enerdowskich przebywających z wizytą w Polsce.

✦ W wywiadzie dla „Moskowskich Nowosti" przywódca „Solidarności" prognozując rok 1990 w ZSRR, powiedział: „Uważajcie na ostre wiraże".

✦ Po wejściu w życie nowych opłat ubezpieczeniowych, rejestracyjnych i nowych cen paliw ruch na drogach zmalał o 50 proc. W samym tylko Lublinie wyrejestrowano przeszło 10 tys. samochodów. Oblicza się, że miesięczna eksploatacja poloneza wynosić będzie 400 tys. złotych. A rowery też drogie...

✦ Minister edukacji narodowej Henryk Samsonowicz oświadczył, że obowiązkowy limit godzin do przepracowania dla nauczycieli (18 godzin tygodniowo) nie zostanie zwiększony, dopóki nauczyciele nie będą zarabiać 2000 dolarów miesięcznie.

✦ Polska weszła w okres niżu demograficznego. Przyrost naturalny wyniósł w ub. r. 180 tys. osób i jest najniższy po wojnie. Obniżyła się wprawdzie śmiertelność niemowląt, ale nadal jest bardzo wysoka i wynosi 15,4 proc.

✦ Codziennie umiera w Polsce na zawał serca 120 osób. Każdego roku odnotowuje się ok. 100 tys. zawałów.

✦ W najbliższym czasie przewiduje się prywatyzację służby weterynaryjnej.

✦ Dyrekcja i Rada Pracownicza Kombinatu Metalurgicznego im. Lenina wystąpiły do organu założycielskiego o zmianę nazwy na Huta Kraków.

✦ Teatr „Wybrzeże" w Gdańsku wystawił po raz pierwszy po wojnie sztukę Wacława Grubińskiego „Lenin-komedia".

✦ Na tle innych krajów socjalistycznych najgorzej wyglądamy w obrotach handlu zagranicznego. Wartość importu i eksportu na 1 mieszkańca w dolarach USA wynosiła w 1987 roku 612 dol. Dla porównania w ZSRR — 710, na Węgrzech — 1970, w Czechosłowacji — 3159, w NRD — 3518, w Bułgarii — 3702. We Francji — 5521, w RFN — 8788 dol.

✦ Aktor Jerzy Matałowski o świątecznym programie telewizji („Polityka" nr 1/90): „Jak dla mnie za dużo było w świątecznym programie koniunkturalnego zabiegania o przychylność Kościoła. Kolędy w świętej polskiej rodzinie, po kombatancku, patriotycznie, nowocześnie: szmira, kadziło i złe to. I kazania: wielu księży robi to świetnie w kościele, ale niekoniecznie musi to sprawdzić się w TV. Co gorsza kazania zaczął wygłaszać Jacek Kuroń, który wygląda jakby oddał już ostatnią koszulę i na telewizyjnej ambonie występuje w pożyczonej".

✦ W korespondencji z Pragi dla „Polityki" Leszek Mazan opisuje entuzjastyczne powitanie w Czechosłowacji Tomasza Baty — juniora właściciela ponad 100 zakładów przemysłowych i 6000 sklepów w 90 krajach, słynnego potentata obuwniczego (przed wojną sklep Baty istniał również w Lublinie). Autor kończy relację krótką rozmową z „królem butów":

„— Panie Bata, ja w sprawie Polski...

— Dzielny kraj, dzielny kraj. Popieramy.

— Nie, ja w sprawie butów, które pan nam jeszcze szyje. Czy aby nie chciałby pan mieć takiego samego przywitania w Krapkowicach czy Chełmku?

— Czemu nie, wrócilibyśmy, nawet już chcielibyśmy, ale to wszystko jeszcze przedwczesne, mocno przedwczesne, cóż, rozmawiamy, rozmawiamy.

— A na jakich warunkach by pan wrócił? I czy najpierw do sklepów, czy do fabryki? Ile butów moglibyśmy uszyć w kooperacji?

— Chłopie — pan Bata był już w płaszczu, odpędził goryla i objął mnie szerokim, kapitalistycznym gestem — dajże ty mi spokój, myśmy to już wszystko ustalili z tym waszym Wałęsą..."

(De-Wu)

NAJWYTRWALSI

Ziemowit Michalski

JEST wiele ekskluzywnych klubów, których członkostwo zdobyć można jedynie po spełnieniu bardzo surowych warunków. Jest klub „sto", grupujący footballistów, którzy rozegrali ponad sto meczów w narodowych jedenastkach, jest klub „osiem tysięcy", do którego należą alpiniści (po zdobyciu szczytu o tej wysokości), są — a jest ich na świecie wiele — kluby miliarderów oraz klub mężów Elżbiety Taylor. Wszystkie one są jednak bardzo egalitarne, a wstęp do nich jest bardzo prosty w porównaniu z klubem „20 lat".

Klub „20 lat" zrzesza władców, którym udało się przy żłobie przetrzymać ten okres. Takich najwytrwalszych, o rękach z żelaza, sercach z kamienia i betonowych mózgach jest — jeżeli dobrze policzyłem — dwunastu. Na czele „parszywej dwunastki" plasuje się z czterdziestoczteroletnim zawodowym stażem władca Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej (zwany „Porankiem Ojczyzny") — Kim Ir Sen. Jego prezesura w klubie „20 lat" wydaje się niezagrożona od kilku lat, od kiedy zeszedł z tego łez padołu — po czterdziestu latach rządów — jego najgroźniejszy rywal, Enver Hodża. Również dzierżący przez długie lata trzecią lokatę Todor Żiwkow nie wydaje się już zagrażać najdzielniejszemu z dzielnych Koreańczyków. A po tych dwóch tragicznych eksmisjach z klubu, miejsce numer dwa przypadło generałowi Alfredo Stroessnerowi z Paragwaju. Z trzydziestoma czterema latami panowania wyprzedza on trzeciego na liście Fidela Castro o cztery lata.

Jak łatwo się domyślić „najwytrwalsi" mają tylko dwa problemy. Jak najdłużej żyć i jak najdłużej — dla dobra obywateli swoich krajów — rządzić. Racjonalistyczny punkt widzenia sugeruje, iż optymalne rozwiązanie obydwu tych problemów leży w rękach dwóch służb: medycznej i policyjnej. Toteż na wydatkach na ochronę zdrowia (swojego) i bezpieczeństwa (państwa — l'Etat c'est moi) dyktatorzy specjalnie nie oszczędzają. To może jednak nie wystarczyć. Na wszelki wypadek zatem prezydent Wybrzeża Kości Słoniowej, Houphouët-Boigny buduje największą bazylikę, a król Hasan II — największy meczet na świecie.

Jeżeli idzie o klimat, to najzdrowszy dla dyktatorów wydaje się być on w Afryce (mieszka tam siedmiu z dwunastu „najwytrwalszych", o łącznym okresie panowania 177 lat), Azji (trzech — 96 lat) i Ameryce Łacińskiej (tylko dwóch, ale za to z łącznym 64-letnim stażem).

Jeśli chodzi o ideę zapewniającą długotrwałe panowanie bezsprzecznie najbardziej rentowny był komunizm (Kim Ir Sen, Castro, Hodża, Żiwkow, Tito, Ceausescu). Nieźle również sprzedawał się socjalizm narodowy (Nyerere, Ne Win, Kadafi) zwłaszcza odpowiednio przyprawiony religijnym sosem. W ostateczności pozostawał czysty nacjonalizm z korzystnie ulokowanym przeciwnikiem, na którego najlepiej nadawał się albo słaby sąsiad, albo odległe mocarstwo (gdyby nie było Stanów Zjednoczonych dyktatorzy musieliby je wymyślić)*. W takim przypadku władca powinien sprawić sobie elegancki mundur i mianować się na odpowiednio wysoki stopień wojskowy (Stroessner, Mobutu, Castro, Kadafi). Przy odrobinie dobrej woli można było zresztą połączyć wszystkie wymienione czynniki: naukowe prawa marksizmu-leninizmu, pierwiastek religijny i wojnę narodowowyzwoleńczą. W stopniu najwyższym sztukę tę opanował — po zstąpieniu z niebios — towarzysz Kim i nic dziwnego, że to jemu należy się palma pierwszeństwa.

* Dobrą techniką rozbudzania zdrowych uczuć narodowych jest wykazywanie wkładu „naszego wspaniałego narodu" w rozwój światowej kultury i nauki. Przez długie lata śmieliśmy się z dowcipów o: wybitnym malarzu, jakim był Iwan Gog, wybitnym kompozytorze (Fiedka Żopin) oraz wybitnych wynalazcach — Schodowie (słynna klatka Schodowa), Sodowie (znakomita woda Sodowa) oraz Wołowie (wspaniała... Wołowa). Potem jednak na czoło wysunęli się Rumuni z pamiętnym oświadczeniem młodszego Ceausescu (wybitnego historyka i generała), że to Rumunia pokonała III Rzeszę Nie do pokonania jest jednak płk Kadafi. Odkrył ostatnio (podaję za „The Economist" nr 7632), iż „Sheakespeare był Arabem, który zaczerpnął fabułę większości swych sztuk ze starych arabskich opowieści". „The Economist" sugeruje, iż Arabami byli również: T. S. Alyas (T. S. Eliot) i G. Ibn Ard Shawwal (George Bernard Shaw).

Klub „20 lat"

1. Kim Ir Sen (KRLD) — 44 lata,
2. Alfredo Stroessner (Paragwaj) — 34 lata,
3. Fidel Castro (Kuba) — 30 lat,
4. Houphouët-Boigny (Wybrzeże Kości Słoniowej) — 29 lat,
5. Hasan II (Maroko) — 28 lat,
6. Julius Nyerere (Tanzania) — 27 lat,
7. Ne Win (Birma) — 27 lat,
8. Mobutu Sese Seko (Zair) — 25 lat,
9. Kuan Yew Lee (Singapur) — 25 lat,
10. Kenneth Kaunda (Rodezja) — 25 lat,
11. Kamuzu Banda (Malawi) — 23 lata,
12. Mohammed Kadafi (Libia) — 20 lat.

TELEGAZETA I ALIANS REPORTERÓW

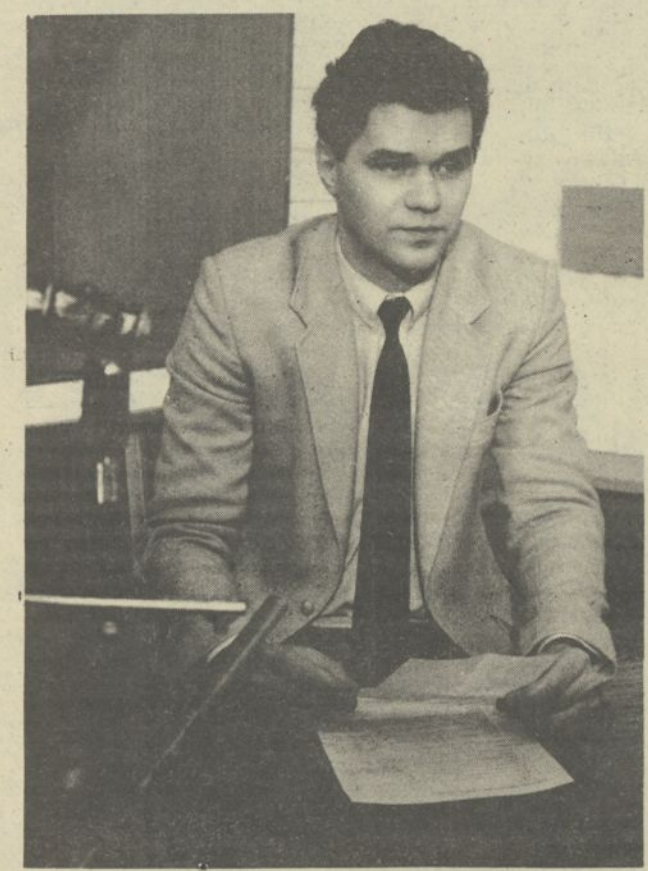

Rozmowa z red. Franciszkiem Malinowskim, szefem lubelskiego radia i telewizji

12 stycznia mija pięć lat od nadania pierwszego programu „Telewizyjnej Panoramy Lubelskiej". Choć czas nie po temu, by uroczyście świętować, skromny ten jubileusz jest okazją do przypomnienia o naszych telewizyjnych przyjaciołach i do rozmowy o szansach na własny ośrodek telewizyjny. Rozmawiamy z redaktorem naczelnym Rozgłośni PRiTV w Lublinie, Franciszkiem Malinowskim.

— Mógłby pan przypomnieć początki?...

— Przy narodzinach programu telewizyjnego byli obecni: inż. Wiesław Wolski — nieżyjący już główny inżynier rozgłośni radiowej i szef ekipy technicznej, Wiesław Olko; od strony dziennikarskiej kierował tym Tadeusz Chwałczyk, przy współpracy Krzysztofa Karmana i Jeremiego Karwowskiego. To była pierwsza grupa ludzi, którzy chcieli coś zrobić, nawet tak trochę na zasadzie zaskoczenia, wymuszenia wobec lokalnych władz, po to, żeby pokazać, iż stać nas na własny program. Początkowo całą „technikę" stanowiły dwa wyeksploatowane, wycofane z Warszawy i Krakowa magnetowidy MW 700 C, wóz reporterski mercedes i sprzęt pomocniczy. Dzięki pomocy łącznościowców udało się w ekspresowym tempie stworzyć możliwość współpracy z nadajnikiem. Oczywiście, pierwsze programy emitowane były na żywo. Materiały montowano w szaleńczym tempie na wozie reporterskim.

Warto chyba przypomnieć w tym miejscu grupę ludzi z zespołu technicznego, dzięki którym można było stworzyć zalążek lubelskiej telewizji. Byli to, poza wspomnianym Wiesławem Olko — Tomasz Wójcik, Włodzimierz Prażmo, Andrzej Bogdan, Przemysław Kopyciński, Bartek Wieczorek, Szczepan Adamiuk, Tadeusz Słowiński, Maciej Rybicki, Wiesław Wróbel. Praktycznie rzecz biorąc, cała ta grupa ludzi pracuje do dziś.

— Wzmocniona przez nowych dziennikarzy.

— Tak, z czasem w realizacje telewizyjne włączyli się Adam Sikorski, Bożena Wróbel, Małgorzata Orłowska, Krzysztof Komorski i Jacek Dąbała. Pracę całości koordynuje mój zastępca do spraw programu telewizyjnego, red. Lesław Gnot. Warto może przypomnieć, że jesteśmy jedyną rozgłośnią w kraju, która ma w swej strukturze zespół telewizyjny; wszędzie indziej istnieją albo ośrodki telewizyjne, albo wyłącznie rozgłośnie radiowe. Mamy właśnie ambicję przekształcenia tego zespołu w samodzielny ośrodek telewizyjny.

Jak pan wie, zaczynaliśmy od jednego programu w tygodniu, po trzech latach uruchomiona została druga „Panorama", we wrześniu ubiegłego roku — trzecia, a obecnie ruszamy z czwartą. Chcielibyśmy jeszcze w tym roku dopracować się piątego programu, co pozwoliłoby uzyskać rodzaj telewizyjnej gazety. Mogę powiedzieć, nie bez pewnej satysfakcji, że przez tych pięć lat tylko raz zdarzyła nam się poważna wpadka i z przyczyn technicznych nie nadaliśmy programu.

Obecnie, w ramach przygotowań do emisji codziennych programów, dokonaliśmy podziału redakcji telewizyjnej na grupę wiadomości i tzw. małej publicystyki (kierowanej przez Krzysztofa Karmana) i zespół reportersko-publicystyczny (pod kierunkiem Adama Sikorskiego). Do tego ostatniego chcielibyśmy zaprosić do współpracy także lubelskich dziennikarzy prasowych i stworzyć coś w rodzaju „aliansu reporterów". Wychodzimy z założenia, że jest w Lublinie sporo ludzi mających coś mądrego do powiedzenia i pokazania, a telewizja stwarza tu odmienne, szersze możliwości prezentacji.

— Żeby jednak nie rozmawiać tak całkiem odświętnie i laurkowo: negatywnych opinii na temat „Panoramy Lubelskiej" nie brakuje. Najczęściej pojawiają się zarzuty błahości, banalności podejmowanych spraw, powierzchowności w traktowaniu problemów, tego, że przeważają historie pod tytułem „dziura w chodniku", „krzywy parkan" itp. Przyznam, że podzielam je w dużej mierze.

— A ja niezupełnie. Uważamy, że nic tak nie łączy telewidzów z redakcją jak właśnie wszelkie interwencje, sygnalizowanie nieprawidłowości i spraw do załatwienia. Czasami tez błahość tej dziury w płocie jest pozorna, dla człowieka, dla grupy — to może być akurat bardzo ważne. Wydaje mi się poza tym, że w tych trudnych czasach niesienie pomocy ludziom przez dziennikarzy, interweniowanie, o ile tylko przynosi efekt, jest naszą powinnością i trzeba to robić. Uważam, że to nas uwiarygodnia. Zgadzam się, że do wielu materiałów podchodzimy zbyt powierzchownie, sygnalnie, nad tym musimy popracować.

— Wiarygodność — tego bym życzył zespołowi telewizyjnemu. Czego jeszcze, pańskim zdaniem, można życzyć „telewizorkom"?

— Wypracowania stanowczego profilu programowego. Profesjonalizmu pozbawionego przypadkowości. Dużo się nad tym zastanawiamy, dyskutujemy. Chcemy takiego programu, który byłby maksymalnie akceptowany przez odbiorców. Po drugie — rozszerzenia działalności, to znaczy uruchomienia — o czym już mówiłem — piątego wydania „Panoramy" we wrześniu tego roku, ale także zwiększenia zasięgu nadawania II programu TV i poprawy jakości jego emisji. To z kolei zależne jest od uruchomienia stacji przekaźnikowej w Piaskach oraz uzyskania łącza zwrotnego z Warszawą. Oznaczałoby to, że wreszcie materiały powstające tutaj można by było przekazywać bezpośrednio łączem kablowym telewizyjnym do stolicy, a nie — jak to ma miejsce obecnie — okazyjnymi samochodami. Dotyczy to zwłaszcza pilnych, aktualnych relacji dla dziennika, „Panoramy dnia", „Teleexpressu".

— Życzę zespołowi telewizyjnemu, by coraz częściej gościł na centralnej antenie. Zapowiedzi sporych możliwości lubelskich dziennikarzy mieliśmy już w ubiegłym roku. Były bardzo obiecujące. Oby częściej! I do zobaczenia za pięć lat we własnym ośrodku telewizyjnym.

— Dziękuję bardzo.

Rozmawiał: **Leszek Wiśniewski**

Zdjęcia: **Waldemar Stępień**

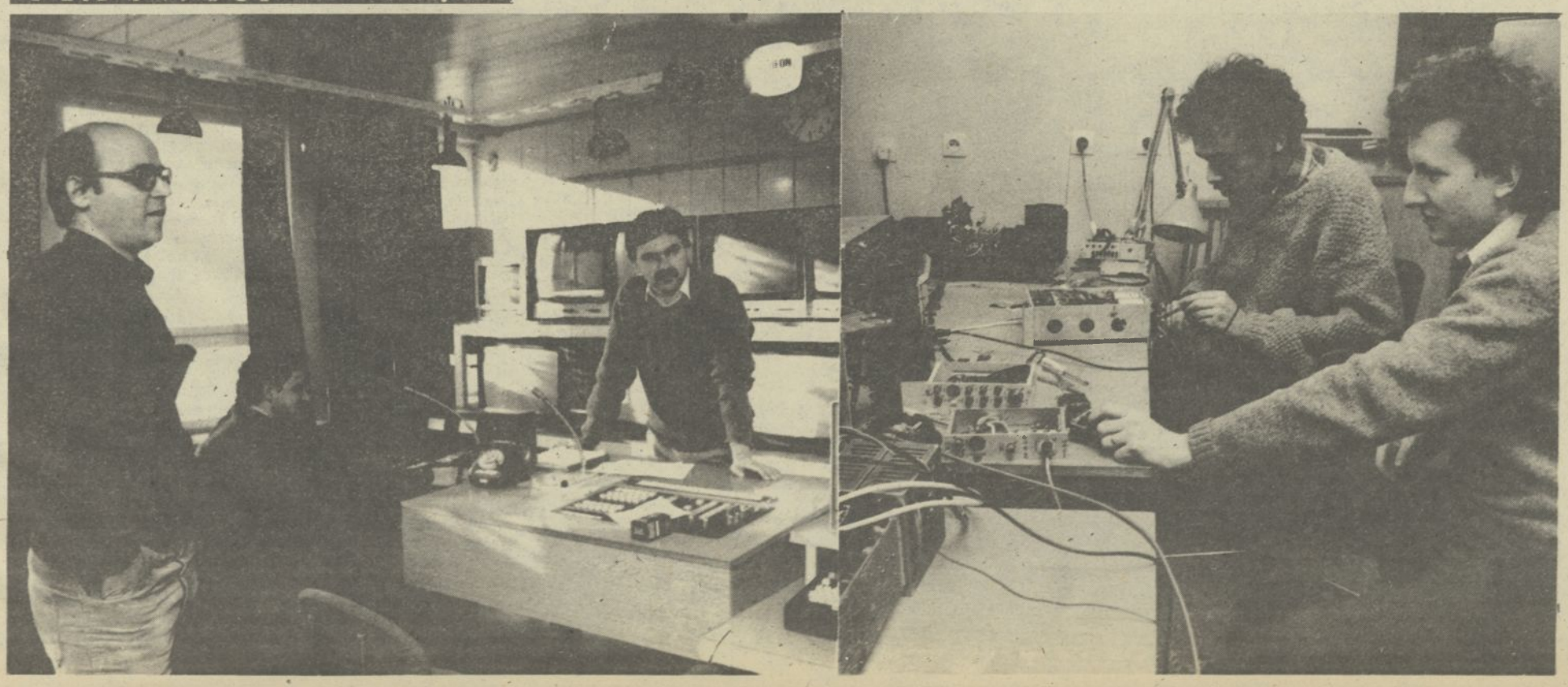

WYZNANIE ORŁA

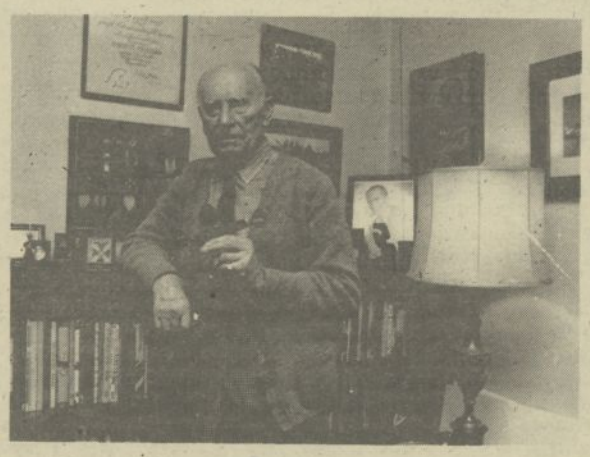

Pułkownik Wojciech Kołaczkowski w swym gabinecie domu w Forest Hills. W rękach model „Spittire'a 5"

Fot Jan Hausbrandt

Ciąg dalszy ze str. 1

— O ile wiem, nie było z panem nigdy problemów obsadowych. Wiadomo było, że Kołaczkowski jest zdecydowanym typem dowódczym...

— Ostatnia rzecz, której chcę, to taka, aby posądzono mnie o zarozumiałość. Myślę, że życie w jakiś sposób przygotowało mnie do kierowania i zarządzania. Bardzo szybko musiałem stać się w życiu samodzielny i to zapewne miało zasadniczy wpływ.

— Rozwińmy zatem wątek biograficzny...

— Pochodzę z Lubelskiego. Z Lubelszczyzną związane były rodziny mojego ojca i matki: Kołaczkowscy i Baduszyńscy... Urodziłem się w 1908 roku w majątku moich rodziców, w Moszenkach pod Lublinem. Do dziesiątego roku uczyłem się w domu, u prywatnych nauczycieli. Potem przez rok w Lublinie i przez rok w Zakopanem. Te podróże były związane z tym, że ojciec sprzedał Moszenki i kupił majątek Łabuńki pod Zamościem. Tam też przeniosła się cała rodzina na wiosnę 1920 roku. Nie mieszkaliśmy tam długo. W czasie wojny z bolszewikami nasz majątek był ostatnim, jaki zajęli. Przenieśliśmy się więc do majątku matki, Pliszczyn pod Lublinem, który odtąd stał się główną siedzibą rodziny. Szkołę średnią ukończyłem w Warszawie. W 1924 zmarł mój ojciec, po którym wraz z rodzeństwem odziedziczyliśmy Łabuńki. Po naradzie rodzinnej zostałem delegowany na hreczkosieja i gospodarza. Naturalnie o uprawie ziemi i rolnictwie wiedziałem niewiele, więc poszedłem do szkoły rolniczej w Cieszynie.

Tak się jednak jakoś w życiu układało, że od dziecka ciągnęły mnie samochody i samoloty. Połknąłem bakcyl automobilizmu i w 1928 roku brałem nawet udział w rajdzie Monte Carlo. W tym też roku zapisałem się do Aeroklubu Lubelskiego. Tam ukończyłem kurs pilotażu i uzyskałem trzeci stopień przysposobienia wojskowego, co uprawniało mnie do wyboru rodzaju służby wojskowej. Naturalnie zdecydowałem się na Dęblin.

W 1929 roku rozpocząłem służbę w Dęblinie. Rok później ukończyłem ją w stopniu sierżanta podchorążego-pilota. Wróciłem do domu, gospodarowałem przez rok, ale ciągnęło mnie do latania. W 1931 roku ponownie wstąpiłem do Dęblina, do Centrum Wyszkolenia Oficerów Lotnictwa. W trzydziestym trzecim ukończyłem ją, jako zawodowy oficer-pilot, i otrzymałem przydział do 114 eskadry myśliwskiej 1 pułku lotniczego w Warszawie. Tam byłem do 1937 roku, do czasu przeniesienia do Dęblina na wychowawcę trzynastej promocji. Trwało to rok, po czym urlopowano mnie w celu uregulowania spraw majątkowych. Równocześnie jednak otrzymałem propozycję objęcia przedstawicielstwa „Citroena" w Warszawie i po krótkim wahaniu — przyjąłem ją.

Jak widać, pędziłem życie intensywne, dzieląc czas pomiędzy służbę, prowadzenie majątku, a także sport. Od momentu trafienia do 114 eskadry byłem w reprezentacji Polski w strzelectwie i automobilizmie. Właściwie w rajdach zacząłem startować znacznie wcześniej, bo już w 1928 roku, kiedy wybrałem się na Rajd Monte Carlo. Byłem jego najmłodszym uczestnikiem i jedynym Polakiem, który dojechał do mety. Zająłem dwudzieste miejsce. Jechałem na czeskim samochodzie „Zbrojovka". Później z powodzeniem startowałem na „Lancii". Na tym samochodzie wygry-

Ciąg dalszy na str. 5

Za dwudziestokilometrowy kurs zapłacili 220 dolarów...

OSKUBAĆ

Henryk Makarski

— Po prawdzie, to co się może dziać na plebanii jak ona cięgiem zamknięta?... Proboszcz jest człowiek taki więcej oszczędnościowy, nie trzyma gospodyni, ani wikarego, to i nudzi mu się samemu. Zamyka drzwi i śmiga czerwoną toyotą do miasta. A to stało się na Jana, w proboszczowe imieniny. Zresztą, ja tam nic nie wiem, nie wtykam nosa w cudze sprawy... — drapie się w skołtunioną głowę zarośnięty gospodarz w wyszmelcowanej tureckiej bluzie, dzwoni dzwonkiem roweru ukraina, tak dla fasonu. Raptem porzuca jednoślad i zrywa się w kierunku czarnej puszystej kulki, która drepcze w poprzek drogi. Dopada kreta i miażdży go solidnym gumowym butem.

— Nosa nie wtykam, ale i nie ścierpię, jak mnie jaka cholera w drogę włazi. A pan to do kretów niezwyczajny, co? Śpiewał taki jeden, że chłop żywemu nie przepuści. A co ma robić, jak te ścierwa tak się rozmnożyły, że w ogrodzie i na łące kopczyk na kopczyku. Pazerne cholery ryją, panie, w cudzym i ryją! — dodaje i wyciąga rower z rowu.

Golcza. Mała wioska na trasie Węgrów — Kosów Lacki, przycupnięty w lasach zakątek siedleckiego Podlasia. Ziemia piaszczysta, licha, to i ludzie biedni. W letnie dni całymi rodzinami wyruszają w leśne uroczyska i ryją ściółkę, wyczarpują jagody, za które w punkcie skupu można zgarnąć ładny grosz. A ci, którzy zostają w zabudowaniach, mają dość własnych kłopotów i nie interesują się zbytnio chudobą bliźnich, choćby nawet miała ona kształt plebanii...

— Wyjechałem do miasta o dziewiątej rano, a kiedy wróciłem, około siedemnastej, stwierdziłem, że do plebanii dokonano włamania — zameldował oficerowi dyżurnemu RUSW w Węgrowie poszkodowany ksiądz proboszcz.

Na miejsce zdarzenia wyjechała grupa operacyjno-dochodzeniowa WUSW w Siedlcach. Ustalono, że sprawcy wybili szybę w lufciku i otworzyli okno od strony lasu, przeplatanego splachetkami marnego żyta. Z drogi nie mogli więc być widziani, a zresztą — stara plebania, kontrastująca z okazałym murowanym garażem, i tak położona jest na odludziu, kilkaset metrów od najbliższych gospodarstw.

Co skradziono? Z oficjalnego meldunku o przestępstwie wynikało, że japoński sprzęt video (kamera, rejestrator, tuner), odtwarzacz płyt kompaktowych oraz pewną ilość gotówki. Wartość strat poszkodowany oszacował na ledwie 20 mln zł, co i w czerwcu'89 nie było sumą małą. Po dwóch dniach okazało się, że straty są trzykrotnie wyższe, bo oprócz sprzętu elektronicznego zniknęły znaczne ilości dewiz różnych krajów, biżuteria, kolekcja monet. Przepadł dorobek całego życia księdza, który żył nader oszczędnie i pracowicie, pomnażając majątek licznymi wyjazdami zagranicznymi, skąd przywoził waluty wymienialne, otrzymane za świadczone tam posługi kapłańskie. I nikt się temu nie dziwił, bowiem z tak ubogiej parafii (pięć niewielkich wiosek, zaledwie 200 rodzin, z których część i tak decydowała się — z różnych względów, najczęściej materialnych — na śluby w sąsiednich parafiach), nawet przy największej zaradności trudno byłoby uciułać godziwe zasoby majątkowe.

Pies tropiący doprowadził do drogi i ślad zgubił. Ekipie milicyjnej pozostało tylko kilkanaście śladów linii papilarnych, pozostawionych w plebanii prawdopodobnie przez sprawców. Gdzie ich szukać?

Zaczęto od ustalenia, kto tej soboty mógł przebywać w okolicach plebanii. W skrzynce na listy ksiądz znalazł karteczkę z prośbą o zezwolenie na wzięcie ślubu w innej parafii. Autor tej prośby posiadał jednak alibi, potwierdzone ponad wszelką wątpliwość.

W TYM samym czasie zdobyto informację, że w sobotę kręcił się koło plebanii młody mężczyzna na rowerze, za którym biegł mały kundel. Cechy szczególne rowerzysty: koszula rozerwana na plecach i tatuaż na ręku. To był trop.

Młodszy chorąży Janusz Rybak z RUSW w Węgrowie uzyskał we wtorek wiadomość, że poszukiwanym osobnikiem z pieskiem może być 22-letni węgrowianin, Krzysztof B., posiadający rodzinę w sąsiedniej wsi. Winien nie winien, sprawdzić nie zaszkodzi. Wizyta w domu Krzysztofa B. nie tylko nie zaszkodziła sprawie, ale najwyraźniej jej pomogła. Na byle jakim kredensie, w byle jakiej kuchni, milicjanci zauważyli elegancki magnetofon SONY. Taki sam skradziono z plebanii...

— Nic nie wiem na temat włamania — mówi Krzysztof B. — Magnetofon przyniósł mój brat Jacek, kompletnie pijany, wyjął zza pazuchy i mi dał. Skąd on wziął? Mówi, że dali mu koledzy, Wiesiek i Sławek.

Wiesiek i Sławek zaprzeczyć na razie nie mogli, bo nie było ich w miejscu zamieszkania, gdzieś się zapodziali. Natomiast w kryminalnej kartotece tkwiły ich życiorysy. Obydwaj recydywiści, o dużej zbieżności zainteresowań. 23-letni Sławek nigdzie nie pracuje, przestępczą karierę rozpoczął jako kilkunastoletni chłopak (włamania do kiosków, drobne kradzieże), szkołę podstawową ukończył w ośrodku szkolno-wychowawczym w Puławach, później były włamania do sklepów i kradzieże zuchwałe. Dobrodziejstwa amnestii nie docenił, aresztowany został ponownie za napad rabunkowy, „wyceniony" przez sąd nad 4 lata i 6 miesięcy pozbawienia wolności. We wrześniu 1988 roku znów mu zaufano wypuszczając z więzienia warunkowo na rok przed terminem. Po trzech miesiącach został dyscyplinarnie zwolniony z zakładu pracy za bumelanctwo, a z następnego — za picie wódki.

21-letni Wiesiek karany był za włamania, chuligaństwo i gwałt ze szczególnym okrucieństwem, którego dopuścił się na nieletniej (podczas, trwającej okrągły miesiąc, dezercji z wojska). Po wyjściu z więzienia próbował uczciwie pracować w wesołym miasteczku, ale bez powodzenia.

I wreszcie trzeci: 22-letni Krzysiek, ów rowerzysta z tatuażem i pieskiem. Siedział 2 lata i 6 miesięcy za włamania i kradzieże. Tak się „przejął" swoją resocjalizacją, że w kilka dni po opuszczeniu więziennych

„Walnę w stół i powiem «basta!»"

TAXI - KOMBAJN

Henryk Sieńko

ZSIENNICY (patrz: „Sami sobie"; „Relacje" nr 1) trop mojej wędrówki wiódł do Strupina Małego koło Chełma. Kilka dni wcześniej, w sekretariacie Wydziału Rolnictwa Urzędu Wojewódzkiego w Chełmie, poznałem Tadeusza Padzińskiego, rolnika ze Strupina. Do władz wojewódzkich zanosił wtedy kolejne błagania o przydział ciągnika i kombajnu bizon. Nie chcąc „palić za sobą mostów", wystrzegł się wypowiedzi w obecności urzędników...

●

Przestronny murowany dom, boazeria w środku, wysokiej klasy sprzęt stereo. Na podwórku ciężarowy samochód, ciągnik, kombajn buraczany, inne maszyny towarzyszące. Wiedziałem, że Padziński to gospodarz pełną gębą, ale nie spodziewałem się aż takich luksusów. Przecież to Polska kategorii „B".

Miła gospodyni postawiła na stole kanapki z szynką i lanszmitem.

— Jedz, panie redaktor. Żarcia tu nie brakuje, choć różnie bywało — gospodarz zaprosił do stołu.

— Dlaczego przyszliście państwo z miasta na wieś? — spytałem. — Mieliście tam mieszkanie, pracę...

— Wykorzystałem, można powiedzieć, „rozruch" sygnalizacji świetlnej Gierka i zaraz, jak po raz pierwszy zapalono dla wsi zielone światło, przemknąłem się przez przejście Zaczynałem od pożyczki od teścia i od półtora hektara kupionej tu ziemi. Potem — na fali „gierkowskich" przywilejów — rozbudowywaliśmy gospodarstwo. Przejmowałem wszystkie ziemie w okolicy, które wypadały z użytkowania; te przekazywane do Państwowego Funduszu Ziemi za renty i emerytury; te porzucane... Gdy zabrakło ziemi tutaj, wziąłem w odległym o 30 kilometrów Ostrówku dalsze 30 ha. Teraz mam tych hektarów 107. I można by było powiedzieć, że wszystko jest okej, gdyby...

Przystojny, około 40-letni mężczyzna z zawadiackim wąsem przerywa na chwilę monolog. Żona nieśmiało rzuca uwagę, żeby zbyt dużo nie paplał, bo więcej zaszkodzi, niż zyska

— A co do cholery, niech się ta banda wreszcie rozleci. Najpierw wkurzyło mnie to, że byle „czwartak" z sinym nosem dostawał kartkę na mięso, a ja — producent kilku tysięcy kurczaków — nie. „Przecież nie będę codziennie jadł kurzego mięsa" — mówiłem. Potem te kurczaki przestały się opłacać. Powiedziałem: „stop!". Wycofałem się z interesu. Kilka miesięcy potem wyliczyłem, że na krowach i mleku też interesu nie zrobię. Ponownie zwinąłem żagle, sprzedałem krowy. Budynki do dzisiaj stoją puste. Postawiłem na produkcję roślinną. Zboże (w większości pszenica), kminek i buraki cukrowe, to obecnie mój interes. Nie potrzeba mi nawet obornika, i bez niego wychodzi mi 60—70 kwintali pszenicy z hektara, a buraków 500 kwintali. Nie narzekam na urodzaj... W ogóle bym nie narzekał (tu pojawił się na twarzy mojego rozmówcy ironiczny uśmiech), nie narzekałbym, „gdyby"... Gdybym miał nowy kombajn i ciągnik z napędem na obie osie.

Tadeusz Padziński, rolnik na 107 hektarach w Strupinie Małym ma dwunastoletniego bizona i dwa ciągniki: C-360 (nowy) i C-330 (dziesięcioletni). Według reguł wymyślonych przez urzędników, o kombajn można się u nas starać, jeśli ma się minimum 60 hek-

murów (grudzień'88) okradł bufetową baru w Węgrowie. Tym razem sprawę załatwiono polubownie (okradziona jest koleżanką jego matki) i Krzysztof bez przeszkód mógł podjąć pracę w zakładach mięsnych. Zarabiał tam bardzo dobrze i nie musiał wracać na przestępczy szlak.

— Zaczęło się wszystko od tego, że moja dziewczyna była już w czwartym miesiącu ciąży i mus do żeniaczki nastąpił — opowiada Krzysztof. — Ślub zaplanowaliśmy na 45. rocznicę PRL, uroczyście, w strojach koniecznie warszawskich, z Rembertowa. W dniu Jana z samego rana pojechałem do proboszcza po swoje świadectwo chrztu, a przy okazji miałem zamiar rzetelnie pomóc bratu na gospodarce. Po drodze przyplątali się kumple, Wiesiek i Sławek...

Krzysztof rzeczywiście pomógł bratu, nakarmił owce i świnie, wsiadł na rower i obszczekiwany przez kundelka pojechał w kierunku plebanii. Księdza nie zastał, ale znów natknął się na kolegów, którzy koniecznie chcieli obrobić jakiegoś zasobniejszego gospodarza, „bo z forsą znów krucho".

KSIĘDZA

— Skoro klechy nie ma, to trzeba go skubnąć, za dużo ma, krwiopijca... — mruknął któryś z nich. Sprzeciwów nie było.

Otwarcie lufcika nie nastręczyło Wieśkowi i Sławkowi najmniejszych trudności, a stojący „na lipku" Krzysztof też nie zauważył czegoś niepokojącego. Weszli do środka i stanęli jak wryci. Łupów nie musieli szukać, było ich pełno jak w legendarnym sezamie. Leżały porozkładane niedbale w najbardziej widocznych miejscach, dewizy w kopertach też. Zapakowali towar w torby turystyczne.

Krzysiek wrócił spokojnie do domu, część łupu powierzył na przechowanie bratu, a Wiesiek i Sławek pochowali „fanty" w różnych zakamarkach, wypchali kieszenie rulonami różnokolorowych banknotów i ruszyli „w Polskę"...

SZALELI słodko i dostatnio, szastając walutą na wszystkie strony. Oprócz kelnerów — najcieplej wspominają ich taksówkarze. Za 20-kilometrowy kurs z Gołczy do Węgrowa zapłacili po pańsku, 220 dolarów USA. Innemu taksówkarzowi rzucili niedbale zwitek wartości ponad 200 tys. zł. Przypomnieć wypada, że działo się to jeszcze w zupełnie innej epoce finansowej, w czerwcu 1989 roku...

Jako się rzekło, młodzieńcy szaleli z gestem. Część łupów sprzedali za pół darmo na bazarze Różyckiego w stolicy, zarobek z szybkich transakcji natychmiast przeznaczając na prezenty dla znajomych dziewcząt i rodziny. Hulali przez kilka dni, nie trzeźwiejąc.

Kiedy przepili prawie wszystko, pojechali do Puław, gdzie Sławek miał znajomą z „poprawczaka", mężatkę już, ale jeszcze mu przychylną. Powitała go tym chętniej, gdy ujrzała prezenty dla siebie i dzieci: srebrne precjoza, kryształy i porcelanę, zagraniczne zabawki. Tymczasem siedleccy milicjanci wpadli na trop wesołych młodzianków. Puławska mężatka odrzekła oczywiście, że ich nie widziała od lat i... w tym momencie w drzwiach pokoju pojawił się Sławek, nie spodziewając się zastać u niej aż tak nieproszonych gości. Wtedy mężatka „pękła" i wyznała, że Sławek bawi u niej od wczoraj, przywiózł drogie prezenty i coś majaczył o jakimś skoku na kreta...

Dwóch złodziejaszków trafiło za kraty. Nadal nie wiadomo było, gdzie jest trzeci. Aż do godziny 22 minut 15. Wtedy to oficer dyżurny RUSW w Puławach został powiadomiony telefonicznie przez funkcjonariuszy posterunku MO w Kazimierzu Dolnym, że zatrzymali oni niejakiego Wiesława R. z Węgrowa, który awanturował się w restauracji „Esterka", uderzył w twarz bufetową. Dyżurny skojarzył sobie nazwisko damskiego boksera z celem wizyty siedleckiej grupy operacyjno-dochodzeniowej i wkrótce do dwóch aresztantów dołączył trzeci.

Sprawców odnaleziono, odciski linii papilarnych się pokrywały, ale nadal zagadką pozostawało miejsce ukrycia łupów. To, co zdążyli przepić i sprzedać, stanowiło ledwie drobny ułamek zrabowanego majątku.

— Dzięki umiejętnej pracy operacyjnej w środowisku przestępczym udało nam się uzyskać informację, że skradziony księdzu sprzęt elektroniczny znajduje się w torbie, schowanej w życie, za cmentarzem w Gołczy. Nie było czasu na powrót do domów, tej samej nocy pojechaliśmy tam — mówi kpt. Ryszard Kajdana z wydziału kryminalnego WUSW w Siedlcach. — Torba spoczywała jeszcze na swoim miejscu. Był w niej sprzęt i dewizy łącznej wartości 20 mln zł.

— Drugi worek turystyczny z łupem, m. in. z tunerem, był zakopany w kącie podwórka u jednego ze sprawców. W chwili otrzymania tej informacji nie mieliśmy do dyspozycji żadnego samochodu, nawet starej zdezelowanej nysy. Powiadomiony telefonicznie o tym ksiądz zaofiarował się zawieźć nas swoją toyotą. Bardzo się ucieszył, gdy zobaczył zawartość torby — stwierdził por. Leszek Żondełek, prowadzący postępowanie przygotowawcze.

Tymczasem sprawcy całego zamieszania otrzeźwieli już po upojnych eskapadach i zaczęli myśleć o obronie własnej skóry.

„Wiesiek, widzisz, kurwy dały nas do sprawy. Chyba będzie amnestia i ty wyjdziesz, to weź tę, no, wiesz którą, za mordę. Pisz codziennie spaloną zapałką!" — to treść grypsu, pozostawionego w toalecie aresztu podczas załatwiania potrzeb fizjologicznych.

Matka jednego z nich też miała stać się adresatką odpowiednich instrukcji: „Mamuniu kochana, weź te panie z biura na świadki, że 24. czerwca byłem przed południem, w godz. 10—12, z tobą w szatni. A ci chłopaki, co u nas ocieplali blok, to niech mówią, że latałem dla nich po piwo, w godz. 12—14. No, a na popołudnie i wieczór, niech da alibi Kaśka, że była ze mną na telewizji, cały czas, jasne? To wsio...".

Brat Krzyśka, Jacek, odpowiada za paserstwo; w warunkach recydywy. Ale pozbawiony wolności nie został (dzięki społecznemu poręczeniu przez osobę godną zaufania). Czy odzyskano wszystkie powierzone mu łupy? Nie wiadomo. Najbardziej denerwuje się Krzysztof, bo dobrze wie, jak łatwo przepuścić cudzą fortunę, gdy nad głową nie tkwi sufit celi, a rozpościera się jasny błękit swobodnego nieba.

---

tarów, a o ciągnik, gdy ma się co najmniej 8 hektarów. Wychodzi na to, że Padziński powinien już teraz dostać przynajmniej 2 kombajny i... 8 ciągników. Tymczasem biurokracja mówi mu: „Na razie nie ma szans!". Wiąże więc tymczasem koniec z końcem, tracąc czas na pogonie za częściami i mechanikami... I nie może zrozumieć, dlaczego to SKR-y, PGR-y kupują maszyny bez „nikakich" problemów.

— W tegoroczne żniwa bizon zepsuł się na polu, SKR zerwał ze mnie kilka milionów. Dosłownie błagałem na kolanach w Urzędzie Wojewódzkim. Nie pomogło! Tymczasem trzech taryfiarzy z Chełma, którzy mają po kilka hektarów — kombajn dostało, a na poprzedni, trzyletni, w kilka dni potem urządzili przetarg w domu! Są pytania? — gospodarz zwrócił się do mnie szukając jakby zrozumienia. Może myślał, że nie uwierzyłem?

— Nie ma...

— Wiem, że łapówka wynosi milion. Panie: ja sprzedałem zboże w żniwa. Gdybym przetrzymał, a możliwości mam, dziś wziąłbym przynajmniej 20 milionów więcej. Może ktoś spytać: co to dla „takiego" milion? Ale ja nie mogę, nie umiem, nie potrafię... To tak, jakbym sprzedawał własny honor, godność. Nie umiałbym nawet wówczas, gdyby łapówka wynosiła nie milion, a tysiąc złotych! Wierzę jeszcze tym z Wydziału Rolnictwa, oni chcą mi pomóc, ale chyba niewiele mogą. Decyzje zapadają gdzieś indziej... Na ciągnik z napędem na obie osie czekam już trzy lata i nikt nie daje mi nadziei. Był dzień, kiedy dzielono ciągniki; piętnaście minut przed trzecią miałem przydział, o trzeciej już nie... A przecież chełmską ziemię nie tak łatwo orać. Potrafi sobie pan wyobrazić zaoranie sześćdziesiątką stu hektarów...?

Smakowite kanapki znikają z półmiska, gospodyni coraz mniej karci męża za „paplanie".

— Panie, o czym tu mówić!? Jestem taki: jak widzę, że perfidnie rzuca mi się kłody pod nogi, to blokuję się w sobie. Tak było z kurczakami, tak było z krowami. Jeszcze trochę poczekam i jak nic się nie zmieni, to walnę w stół i powiem „basta!" Już dziś wokół niewykorzystanego kurnika kręcą się różni tacy z firm polonijnych, chcą wydzierżawić na produkcję glazury. Jak długo można żebrać!? Mnie już wstyd jest chodzić po tych dywanach w urzędach. Normalnie — wstyd!

Rolnik ze Strupina był właśnie w połowie wykopków buraków, a uprawiał 18 hektarów. Nowy kombajn, na gwarancji, psuł mu się już kilka razy. Chłop, zamiast kopać — jeździł za częściami.

— No i co? Chłopi wywalczyli 20 litrów ropy na kwintal buraków, a dziś, cholera, grosza nie można pobrać. Będą zwlekać, aż ze dwa razy podniosą cenę ropy i wyjdzie nie 20 litrów za metr, tylko 10. To jest wprost „genialna" manipulacja! Nie wiem komu gratulować, ale gratuluję...

— Ja też nie wiem. Może Balcerowiczowi, może prezesowi banku, może dyrekcjom cukrowni...

— Ja już sprzedałem połowę buraków. Nie wziąłem grosza z tych należnych mi 40 milionów — kontynuował Tadeusz Padziński. — Przy takiej inflacji codziennie tracę od kilkudziesięciu do kilkuset tysięcy! Są pytania?

— Nie ma...

— Widzisz pan: chłopi wiozą świnie i wracają z nimi z powrotem, nikt nie chce kupić. Dlaczego? Po pierwsze: brak jest przetwórni, a powinna być w każdej gminie; po drugie: chłopi nie chcą obniżyć ceny, bo nikt im nie obniża ceny pasz i nawozów. Tu każdy chce się obłowić jak najmniejszym wysiłkiem, coraz mniej ludzi chce pracować. Przecież dziś trudno spotkać człowieka, który przepracowałby „dosłownie" osiem godzin dziennie. Zamiast produkować więcej i taniej, tak samo się opłaci mniej i drożej. I tak pójdzie! Konieczne są kredyty, i to korzystne, na budowę bazy przetwórczej w gminach. To jest główna żyła w krwiobiegu organizmu reformowanej gospodarki, w krwiobiegu rolnictwa...

GADALIŚMY od południa. Tuż przed czternastą żonie udało się przerwać „wypowiedź" męża. Tego dnia chcieli jeszcze złożyć wizytę w Rejowcu, w cukrowni. Do Chełma jechaliśmy razem. W Chełmie poszedłem do biura poselsko-senatorskiego. Jadący w kierunku Rejowca rolnik nie wiedział, że poszedłem tam m. in. w sprawie jego kombajnu i ciągnika. Ale o tym, kiedy indziej.

Chełm, 1989-11-18

WYZNANIE ORŁA

Ciąg dalszy ze str. 4

wałem kolejno Międzynarodowe Rajdy Polski w 1935, 36 i 37. Bardzo mile wspominam ten okres, także włoska firma była zadowolona z moich wyników i mówiło się nawet o jakiejś poważniejszej jej obecności na polskim rynku automobilowym...

Zamiłowanie do polowań i strzelania również wyniosłem z domu. Miałem wiele okazji do ćwiczenia oka i ręki, nic więc dziwnego, że osiągnąłem dużą wprawę w strzelaniu do rzutków. Ruchomy cel zawsze bardziej mnie emocjonował, podniecał. Wymagał dużej koncentracji uwagi i szybkiej decyzji oraz pewnego, zdecydowanego działania. Kiedy dostrzeżono moje umiejętności, znalazłem się w reprezentacji narodowej. Występowałem w niej od 1936 do 1939 roku. Najlepszy wynik uzyskałem na mistrzostwach świata w Luchaczevicach w Czechosłowacji w trzydziestym ósmym; byłem piętnasty na kilkuset uczestników.

Jeżeli w tych elementach życiorysu miałby pan szukać mojej motywacji do zajmowania się lotnictwem myśliwskim, to zapewne jakoś się one komponują w całość.

— Będę się jednak upierał przy określeniu predyspozycji dowódczych młodego Kołaczkowskiego.

— Kiedy patrzę na to z obecnej perspektywy, za najważniejsze uważam [illegible]ifikacje psychiczne związane z szybkim prz[illegible]arzaniem informacji i podejmowaniem decyzji. Także — nieuleganie emocjom i dążenie w działaniu do minimalizacji ryzyka, związane z poczuciem odpowiedzialności za innych. Takie jest moje obecne przekonanie. Czy jednak taki byłem naprawdę? Nie wiem. Daruje pan, ale nie ja o tym powinienem mówić.

— Gdzie zastał pana wybuch II wojny? Jaki był pański Wrzesień?

— W Warszawie. Na drugi dzień byłem już w Dęblinie. Trzeciego dnia, w godzinach rannych, miasto i lotnisko zostały zbombardowane. Ponieważ miałem ze sobą samochód, wysłano mnie na poszukiwanie lotnisk nadających się do użytku. Poruszaliśmy się z podchorążymi w kierunku południowo-wschodnim, na Rumunię. 16 września 1939 roku, wraz z resztą lotnictwa, przekroczyliśmy granice.

— Nie czuł pan rozczarowania nie mogąc brać udziału w walce?...

— Chciałem walczyć jak każdy pilot myśliwski, bo do tego byłem szkolony. Jako Polak posiadałem natomiast szczególną motywację, aby bić hitlerowskiego agresora. Jako młody człowiek i sportowiec znałem dobrze smak sukcesu i porażki; wiedziałem, jakie możliwości te uczucia we mnie wyzwalają. Niestety, musiałem pozostać ze swymi myślami sam i... na ziemi. Co czułem, nietrudno sobie wyobrazić.

— Po Rumunii była Francja?

— Nie od razu. Najpierw trafiłem do Jugosławii, potem do Grecji i stamtąd do Francji. Po trzymiesięcznym pobycie i przeszkoleniu, zostałem skierowany do Algieru, jako dowódca eskadry mającej bronić fabryki, a właściwie montowni samolotów. Przypływały one w częściach do portów algierskich, a potem były składane w Maison Blanche i drogą powietrzną przelatywały do Francji. Ta służba trwała do 22 czerwca, czyli do czasu podpisania układu Petaina z Hitlerem. Dostaliśmy wtedy rozkaz niezwłocznego ewakuowania się do Casablanki, skąd po kilku dniach zabrały nas dwa brytyjskie niszczyciele przybyłe z Gibraltaru. Tam przesiedliśmy się na statki pasażerskie płynące do Anglii. I tak, w końcu lipca 1940 roku, znalazłem się na Wyspach Brytyjskich.

— Gdzie wcielono was do Royal Air Force...

— Nominalnie — tak. W praktyce kierowano nas do szkół, gdzie trzeba się było uczyć latania na samolotach angielskich. Trafiłem do takiej szkoły w sierpniu i szkoliłem się do października czterdziestego roku.

— W tym czasie bitwa o Anglię w zasadzie dobiegała końca.

— Bitwa o Anglię trwała od 6 sierpnia do 31 października 1940 roku. Praktycznie nie zdążyłem wziąć w niej udziału.

— Historia nie poczekała, c[illegible] pan się spóźnił, panie pułkowniku?

— Kiedy dotarłem do Anglii, Dywizjon 303 był już sformowany. Pełną gotowość bojową uzyskał 1 września 1940 roku. Jego skład był już szkolony od kilku miesięcy, tak że musiałem czekać na swoją kolejkę przydziału do dywizjonu. Nasze chęci nic tu nie znaczyły. RAF miał swoje rygory szkoleniowe odporne na nasze ambicje.

— Jak wyglądała pańska kariera w Dywizjonie 303?

Ciąg dalszy na str. 6

WYZNANIE ORŁA

Ciąg dalszy ze str. 5

— Przez koniec 1940 roku byłem pilotem. Wiosną 1941 roku zostałem dowódcą Eskadry (Flight-u) „B", w październiku — Eskadry „A" i 20 listopada tegoż roku dowódcą dywizjonu. Byłem nim do 6 maja 1942 roku.

— Jakie zadania bojowe pełnił Dywizjon 303 w tym czasie?

— Nasz dywizjon wchodził w skład 1. Wingu 11 Grupy Myśliwskiej, która generalnie zajmowała się obroną południowo-wschodniej Anglii wraz z Londynem i wypełniała szereg innych zadań. W czasie mego dowodzenia niemieckich nalotów było już niewiele i używano nas do lotów zwiadowczych nad Francję, do osłony bombowców i osłony konwojów na Kanale La Manche. Po odpoczynku, w początku 1941 roku, przeszliśmy do lotów ofensywnych nad Francję.

— Co pan robił po zakończeniu służby w dywizjonie?

— Byłem zastępcą płk. Pawlikowskiego, dowódcy Polskiego Lotnictwa Myśliwskiego. Potem, w sierpniu 1942 roku, zostałem dowódcą Wingu (Skrzydła) Nr 2 w bazie Kirton in Lindsey, działającego w 12 Grupie Myśliwskiej, broniącej środkowej Anglii. W składzie (skrzydła) były trzy dywizjony. W styczniu 1943 roku zostałem dowódcą Skrzydła w 11 Grupie Myśliwskiej, gdzie były cztery dywizjony; w Northolt, pod Londynem. Tę funkcję pełniłem do 25 czerwca 1943 roku. Do naszych zadań w tym czasie należały loty bojowe nad kontynent oraz osłona amerykańskiego lotnictwa bombowego, samolotów B-17 i B-25. Naturalnie podczas tych lotów Niemcy nie zostawili nam czasu na relaks. Była to realna, codzienna walka, tyle że już nie w takim skondensowaniu i wymiarze jak podczas Battle of Britain, ale za to nad terenem Francji, Belgii i Holandii.

— W jakich okolicznościach przestał pan być dowódcą?

— Odbyłem pięć tur operacyjnych i według przepisów Royal Air Force musiałem — jak to się mówiło — zostać „uziemiony". Odchodząc, miałem na koncie 249 lotów bojowych. Tak zakończyłem karierę myśliwską.

— Panie pułkowniku, nim przejdziemy do sposobu uhonorowania pańskiej walki, chciałbym powrócić do dość częstego motywu rozmów o czynie polskich pilotów. Czy jest prawdą, że byliście lepsi od Anglików?

— O tym mówią fakty. Byliśmy lepsi z kilku powodów. Przede wszystkim dużo lepsze było nasze przygotowanie taktyczne. Nasz szyk bojowy był lepszy od angielskiego. Lataliśmy trzema czwórkami samolotów, które wzajemnie się osłaniały, natomiast Anglicy formowali dywizjon w cztery trójki podążające za sobą. Mieli gorszy przegląd sytuacji i dawali się przez to łatwiej zaskakiwać Niemcom. Na pewno byliśmy lepiej przygotowani psychicznie i początkowe obawy Anglików, że klęska wrześniowa osłabiła nasze morale i motywację były bzdurą. Mieliśmy większe doświadczenie lotnicze i bojowe. To może niewiarygodne, ale Anglicy byli także słabsi fizycznie. Przeciętny polski pilot miał lepszy wzrok, niż jego kolega angielski: dostrzegał wroga szybciej. Sami wielokrotnie temu się dziwiliśmy. A przede wszystkim mieliśmy dużo lepszych dowódców.

— Royal Air Force uhonorowało pana w sposób zupełnie wyjątkowy, bo portretem...

— Istotnie, na zamówienie RAF portretował mnie znany malarz angielski Eric Kenning. Na obrazie, obok mego konterfektu, znajduje się godło Rzeczypospolitej i znak naszego Dywizjonu 303.

— Nie skąpiono panu odznaczeń. Które ceni pan najbardziej?

— Jestem polskim oficerem. Zawsze najważniejsze będzie dla mnie to, czym zechciała nagrodzić mnie Ojczyzna i dlatego naturalnie wymieniam na pierwszym miejscu Virtuti Militari V Klasy oraz czterokrotnie Krzyż Walecznych i Krzyż Oficerski „Polonia Restituta". Mam brytyjski Destinquish Flying Cross, norweski Krzyż Świętego Olafa i wiele innych: francuskich, angielskich, jugosłowiańskich.

— Zakończenie kariery bojowej nie oznaczało pańskiego rozstania z lotnictwem...

— Była wojna i było dla mnie oczywistym, że moja służba się nie skończyła. Z Wingu Nr 1 zostałem przeniesiony na stanowisko zastępcy głównego oficera operacyjnego 11 Grupy Myśliwskiej. Następnie byłem wykładowcą w Wyższej Szkole Lotniczej w Weston Super Mer i, od 1945 do 1946 roku, zastępcą attache lotniczego naszej ambasady w Londynie. Tam zastała mnie demobilizacja. To było już prawdziwe pożegnanie z bronią.

— Czy żegnał się pan w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku?

— Uważam, że wypełniłem swój obowiązek żołnierski wobec Polski i aliantów jak umiałem najlepiej. Tak jak wielu moich kolegów — lotników.

Dokończenie na str. 8

MIĘDZY

Adam W. Kulik

Azerbejdżan

MIMO że skreśliliśmy kolejne spotkanie z programu na rzecz przedsięwzięć kulturalnych (nie wyjadę nie obejrzawszy mezolitycznych malowideł na skałach Gobustanu i religijnego ośrodka hinduskich czcicieli ognia w Surachanie), Zema postanawia na swoim: na rozkładzie został szef azerbejdżańskiego komsomołu. Idziemy bez entuzjazmu. Przyjmuje nas — i tu rzecz zmienia się diametralnie — młoda, ładna dziewczyna z włosami w artystycznym nieładzie. Wyczuwam u niej pewną nieśmiałość pokrewną mojej. Zanim zaczniemy rozmowę długo ogląda moją saposką legitymację — nie ma pieczątek poświadczających członkostwo w ostatnich dwóch latach, co zrobi? Nie potrzebuję się wysilać, przedbiegi rozmowy załatwia Zema (skąd w kraju wytrzasnąć takiego sekretarza i z czego mu zapłacić?).

— Czy nie jest tak, że Ormianie utożsamiają was z Turkami? — pytam.

— Ale to Turcy z Turcji ich mordowali, nie z Azerbejdżanu. My odróżniamy Niemców od hitlerowców. To są złożone problemy, np. mieszane małżeństwa ormiańsko-azerbejdżańskie wyjeżdżają w głąb Rosji, nie widząc możliwości życia ani w Armenii, ani w Azerbejdżanie.

Podchodzę do wiszącej na ścianie szczegółowej mapy kraju. Z obu stron granicy ormiańsko-azerbejdżańskiej są „kółka", którymi oznaczono terytorium strony drugiej w obrębie własnego. W relacjach polskich mogłoby to oznaczać, że np. Łużyce są polskim terytorium w obrębie NRD, zaś Poznań czy Głogów terytorium niemieckim w obrębie PRL. Po stronie armeńskiej kilka „kółek" azerbejdżańskich, po drugiej podobnie, ba, azerbejdżańskie enklawy znajdują się w byłym terytorium Azerbejdżanu, które dziś jest Nagorno-Karabachskim Autonomicznym Okręgiem.

— Trudno przypuszczać, że granicę projektował schizofrenik, nie sądzi pani, że w tym zamyśle tkwiła projekcja przyszłych konfliktów? To było konstruowane na dziesiątki lat do przodu!

— Bardzo prawdopodobne — potwierdza pani sekretarz. — Każde pokolenie widzi problem Karabachu inaczej, niemniej nie chcemy wojny. Wyrzucać Ormian z Azerbejdżanu? W imię czego?

— Jego interesuje Karabach — wtrąca Zema. — Chciałby tam pojechać, obejrzeć wszystko na miejscu. Może udałoby się zorganizować wyjazd?

— Mogę to załatwić, ale musiałby pan się szybko zdecydować.

— Zostały tylko trzy dni do naszego wyjazdu. Wypad zająłby co najmniej dwa, jeżeli pojedziemy, nie zdążymy obejrzeć Gobustanu ani świątyni w Surachanie — waham się.

— Zrobimy tak: jutro rano czekam na telefon, jeżeli nie zadzwonicie, sprawa nieaktualna.

Nasz miły gospodarz wyraźnie nie ma czasu, z ulgą przyjmuje zapewnienie, że musimy już iść.

NAZAJUTRZ wszyscy szykujemy się na Gobustan, Iskander jest umówiony na godzinę. Nikomu nie chce się dzwonić w sprawie wojennej — ta decyzja jest zaskoczeniem dla mnie samego. Nigdy nie uważałem się za człowieka ciekawego frontowych przygód, ale tak gładkie przedłożenie kultury i sztuki nad jazgotliwą doczesność? Jednak zaskoczenie, i ani cienia wątpliwości!

Koszmarny upał, dziurawy asfalt i 80 kilometrów przed nami. Po obu stronach pustynne skały, rzadkie znaki drogowe, Iskander parę razy gubi drogę, wreszcie jest tablica kierująca do rezerwatu.

Na kilkudziesięciometrowej skalnej półce porozrzucane głazy jakby po zabawie olbrzymów. Wśród nich mały domek-muzeum, obok kiosk z pamiątkami, nic więcej. Jesteśmy sami, ale po pół godzinie zwalają się dwa autokary nieprzyzwoicie dopranych turystów, oczywiście Niemcy. Osiem tysięcy lat temu morze podchodziło pod samo urwisko, dziś odsunęło się na kilometr, dwa. Patrzę z wysoka w dal odwlekając penetrację — tak smakuje bardziej.

Wśród skałek ścieżka, bezpośrednio przy niej setki, jeżeli nie tysiące rytów: częste motywy kobiet pojedynczo i grupami (VIII tysiąclecie p.n.e.), są lwy pustynne, sceny z polowań z łukiem na byki pieszo i konno, jelenie z pysznym porożem (II tysiąclecie p.n.e.), kozice i łódka z wyobrażeniem słońca na dziobie. Siedem kresek tworzy postać radośnie tańczącego człowieka, dwie linie — byka. Wierzę, że podobne rysunki w grocie Lascaux mogły obudzić Picassa. Biodrzaste kobiety rysowano kreską, ale też wypełniano całe postacie farbą, jest również piersiasta sylwetka pokryta od stóp po szyję tatuażem. Próbuję przerysować kilka rysunków, po dziesięciu minutach pot kapie z czubka nosa, muszę się schronić, biegnę w kierunku muzeum — spod nóg ucieka jaszczurka. Rzucam się w bok — ostrzegano nas, że w tym roku żmije licznie zagnieździły się w Gobustanie.

Ekspozycja muzealna: plastykowe laleczki przepasane w biodrach skórami zwierząt gonią nad urwisko stadło kozic, które w strachu rzucają się na skały. Inne ludziki zbierają to, co spadło i rozniecają plastykowy ogienek. Plastykowa kozica od lat wisi na drucie pomiędzy skrajem przepaści a jej dnem, biedaczka. Przypomina to telewizję. Najciekawsze są fotografie rysunków i nieliczne eksponaty — naczynia z epoki brązu i antyczne, brązowe dziryty. Przypomnienie antyku nie jest przypadkowe, na jednym z kamieni rzymski skryba, który zapędził się aż tutaj z legionami wyrył imię cesarza Germanika Liwiusza, na innym widnieje inskrypcja w języku perskim zapisana alfabetem arabskim.

Spoglądam na skalne sterczyny z wyżłobionymi przez wiatr (bo chyba nie przez deszcz?) „jaskółczymi gniazdami" — pora odjeżdżać. W kiosku upominek akurat dla nas: orientalny czajniczek z wysoką szyjką w odcieniu głębokiego kobaltu, malowany złotem — za jedyne 32 ruble. Sądziłem, że na herbatę. Arif wyprowadza mnie z błędu: jest na różany sok.

JAK PRACUJE

Wiesław Horabik

ULICA Farringdon Road, jak większość londyńskich ulic, pełna jest starych, wiktoriańskich domów (w ich zakamarkach wciąż jeszcze żyją wspomnienia o duchach), małych sklepików z wyrobami kolonialnymi i księgarenek oferujących oprawne w podniszczoną skórę wiekowe woluminy. To ruchliwa ulica, pełna pośpiechu i zapachu spalin, straganów warzywnych na obrzeżach i ulicznych kramów przed witrynami wielkich magazynów.

Kiedy oczyszczano sławną Fleet Street z prasy i wszystkie wielkie redakcje przenosiły się w pośpiechu do nowych gmachów, „The Guardian" zajął wielki, brązowy, liczący kilkanaście pięter budynek, sterczący w tej okolicy jak nieubłagane wyzwanie przyszłości wobec czasu, który przeminął. Na ściętym płasko rogu budynku umieszczono srebrne, schodzące pionowo w dół litery...

A jednak coś z dawnej atmosfery ocalało. Przez szklane, obrotowe drzwi przebiegają co chwila posłańcy z prostokątami brązowych kopert w rękach, przy ścianie kręcą się mali chłopcy z parcianymi torbami na ramionach, gotowi ponieść przez ulicę ciepłe jeszcze egzemplarze gazety, policjant odbywa majestatyczny spacer do najbliższej przecznicy i z powrotem. Mimo całej nowoczesności formy, ruch wokół redakcji przypomina raczej dawne opisy dziennikarskiego świata kreślone piórem Marka Twaina czy Karola Dickensa. Na Wyspie wszystko bowiem musi mieć tradycję, pozorować patynę wieków, obezwładniać powagą. „The Guardian" liczy sobie przecież bez mała dziewięćdziesiąt lat.

Z małej, manchesterskiej gazety założonej przez ludzi pełnych entuzjazmu dla dopiero co powstałej Labour Party, już w latach dwudziestych wyrósł wpływowy, agresywny, stołeczny dziennik. Rósł tak szybko, jak szybko rozrastała się Partia Pracy. Towarzyszył wiernie wszystkim zmianom społeczno-politycznym, które ukształtowały obecne oblicze Wielkiej Brytanii i panujący w nim aktualnie podział sił i społecznych sympatii. Stał się przykładem gazety, która pochwyciła rodzącą się szansę. W czasach rewolucji przegrywają ci, co stoją pośrodku.

Dzisiaj gazeta szczyci się dwu i pół milionowym nakładem, drukowana jest równolegle w Londynie i Manchesterze, a jej międzynarodowe wydanie (niebieska winieta) opracowuje się we Frankfurcie. Dzienny egzemplarz „Guardiana" liczy sobie średnio czterdzieści, pięćdziesiąt stron i, wzorem innych gazet brytyjskich, uzupełniany jest specjalnym dodatkiem (kultura, oświata, mass media). Redakcja wydaje również specjalny sobotnio-niedzielny magazyn.

Mimo owej zewnętrznej atmosfery dawnego, dziewiętnastowiecznego dziennikarstwa, wnętrze guardianowego imperium jest już enklawą nowoczesności, skomputeryzowania, stechnicyzowania i zautomatyzowania. Czy także dehumanizacji?

Za półokrągłą ladą, przypominającą saloonowy szynkwas urzęduje portier w uniformie, umundurowani strażnicy z organizacji „Securicor" (ochrona sklepów, instytucji publicznych, czasami wielkich imprez), recepcjonistka. Hall jest ogromny, pełen szkła, kwiatów i skórzanych foteli. A dalej już, piętro po piętrze, pulsują życiem wielkie, oszklone sale, pocięte przepierzeniami, w których pracują dziennikarze. Rozlega się terkot telefonów, grzechot drukarek komputerowych, dławiący się skrzek teleksu. Każdy dział posiada swój „desk" — stolik dyżurny, który jest jakby centrum dyspozycyjnym. Tutaj spływają materiały, tutaj wartościuje się agencyjne wiadomości, tutaj podejmuje się decyzje o publikacji bądź odrzuceniu tekstu. Każda taka hala ma jednak swoje miejsca spokoju, obszary izolacji, gdzie można wypić kawę, skorzystać z podręcznej biblioteczki (w dziale zagranicznym królowała na przykład ostatnio autobiografia Lecha Wałęsy „A Path To Hope"), porozmawiać z interesantem. Kawę i herbatę w dużych glinianych kubkach, serwują niemal bez przerwy odpowiedzialne za to dziewczyny. Na korytarzach stoją także automaty z gorącymi i zimnymi napojami. Materiały spływają do „Guardiana" do godziny 6.30 po południu. Wyjątkowo akceptuje się również teksty złożone do 20. Tak jest w dziale zagranicznym. Działy krajowe

PRAWDĄ A NIENAWIŚCIĄ

Iskander:

— Wróciłem z Erewanu miesiąc temu. Zniszczyli mi samochód, nie grozili, ale w sklepie nie mogłem niczego kupić — nie sprzedawali mi. Chleb kupowali dla mnie zaprzyjaźnieni Ormianie — bochenek za pięć rubli, normalna cena 40 kopiejek. W opuszczonych przez Azerbejdżan wioskach nikt nie mieszka, nie uprawia ziemi. Cena kilograma pomidorów skoczyła na dwadzieścia rubli, w Baku 70 kopiejek do rubla... Szowinizm jest posunięty tak daleko, że przestali kupować produkowane u nas samochody.

— Dlaczego?

— Bo mają przypięty symbol Azerbejdżanu — małe trzy ognie. Rządowi zależy na handlu teraz samochody tam wysyłane pozbawione są tego znaku.

Samochód niemiłosiernie trzęsie. Zema zadowolona z eskapady nadaje bezustannie, rzucony na przeponę zdrowy dyszkant przebija mózg na wylot.

— Naucz jej słowa kataryna — mówię do Małgorzaty z maskującym uśmiechem.

Po powrocie Arif usprawiedliwia się:

— Kiedy Iskander zaczął opowiadać, szybko skierowałem rozmowę na inne tory. Zauważyłem łzy w oczach, bałem się, że coś się na drodze stanie.

Popijając herbatę z konfiturami zastanawia się:

— Jak to jest: wasz kraj jest bogaty, ma wykształconą kadrę, a jest bieda.

— Kupujemy licencje, których nie wdrażamy, oddajemy za darmo produkty, bo mędrcy pozawierali długoterminowe umowy — Rosjanom na przykład sprzedajemy cukier po 10 zł za kilogram, podczas gdy w sklepie kosztuje 550 (nie doceniałem iluzjonistów; w miesiąc, w rolniczym kraju cena skoczyła pięciokrotnie).

— To tak jak u nas — Arif jest prawie ucieszony.

— Ile kosztuje nafta w świecie? A my oddajemy Związkowi Radzieckiemu po 13 do 19 rubli za tonę, i to jakiej ropy!

Sączymy napar popatrując w telewizor: jedna dyskusja polityczna goni drugą, od czasu do czasu zagra zespół folklorystyczny lub puszczą film z ludowym bohaterem. Teledyski pojawiły się parę miesięcy temu, raz dziennie, późnym wieczorem można obejrzeć zachodni, rockowy zespół szalejący wśród kabli i świateł. Zachodnie obrazy także obecne od niedawna, dozowane są jeszcze oszczędniej: raz w tygodniu. Żeby dopowiedzieć do końca: najczęściej są to filmy nakręcone 20, 30 lat temu. Jedyny powód dumy: mają aż cztery kanały telewizyjne.

NIESPODZIEWANIE Mamed Aslan zaprasza nas do swojego domu. Arif, zwykle towarzyszący nam przez cały dzień, zniknął od rana. Na pięć minut przed wyjazdem Zema przypomina sobie, że ma ważne sprawy do załatwienia — pojedziemy sami. Mamed przedstawia nas swojemu towarzyszowi o płomiennych oczach Mamedowi Ismaiłowi, poecie, redaktorowi naczelnemu interesującego miesięcznika społeczno-kulturalnego „Młodość", który wychodzi w Baku, w języku rosyjskim.

Mamed II — bo tak go nazwaliśmy — kluczy redakcyjną „Wołgą", szukając zakładu ślusarskiego — kierowca zapomniał zostawić klucza od nakrętki zbiornika na paliwo, jeżeli chcemy dojechać, trzeba dolać benzyny — trzęsiemy się na resztkach. W Baku jeździ się szybko, ostro hamuje, na skrzyżowaniach z zasady wkręca „na wcisk", klaksonu używa się nie tylko gdy trzeba, czasami po to, by zwrócić na siebie uwagę. Bezwzględne pierwszeństwo mają pojazdy — przez pierwsze dni pobytu baliśmy się wejść na jezdnię nawet przy zielonym świetle, któremu tutaj podporządkowuje się kto chce. Przez ruchliwe skrzyżowania przechodnie chodzą wedle upodobania. Poruszanie się nawet Polakom wychowanym na prostactwie rodzimych kierowców, przysparza sporo trudności. Można tego nie lubić, może to przeszkadzać, ale ci ludzie żyją po swojemu. Czy sztywne zakazy i nakazy, pasy ruchu, światła są bliższe ludzkiej naturze? Możliwe, że żyje się z tym wygodniej, ale owa wygoda polega na samoograniczaniu się. Mieszkańcy Baku tej ceny jeszcze nie płacą, żyją na modłę przodków, zmieniły się tylko zewnętrzne atrybuty egzystencji.

Benzyny nie wystarczyło. Podrzuca nas przypadkowy kierowca. Ledwie zdążyliśmy umyć twarz i ręce, wpada Zema — przecież nie znała adresu! Dowiadujemy się, że niepokoiła się o nas, ponieważ jesteśmy jej gośćmi, przyjechała milicyjnym samochodem, i że ma pretensję, gdyż nie jechaliśmy najkrótszą trasą, lecz kluczyliśmy. Mamed jest wściekły. Małgorzata załamana. Rezonu nie traci żona Mameda:

— Skąd wyście ją wytrzasnęli?

Powoli wracamy do siebie, jeden toast, drugi. Pijemy bimber, choć stoi koniak i wódka. Jest znakomity. Rozmawiamy o poezji, podróżach, o Turcji i Polsce — Mamed II był u nas, ma tu swoich przyjaciół. Wyciąga z dyplomatki tomik wydany przed rokiem w moskiewskim wydawnictwie „Młoda Gwardia" (przekład z azerbejdżańskiego) i zaczyna czytać:

Jam pieszy pątnik. Czas — konia dosiada.
I kroku mu dotrzymać nie dam rady.
Znów ciebie wołam, wzywam cię mój Panie —
Nie ma sprawiedliwości w Twoim planie.
Pozostawiam ten ziemski świat cudowny,
Kamień nade mną wisi już nagrobny.
Jestem marnością. Głaz jest wieczny, mocny.
Jakżeś nieludzki Panie, bezlitosny.
Odchodzę. Niechaj inny mnie tu zmieni.
Lecz on też nie jest wieczny na tej ziemi.
Spełniwszy wzniosły czyn, odleci w ciemność.
Doprawdy. Szkoda płakać nadaremno,
Jednak w godzinę smutku i rozpaczy
Nasze dzieci gorzko po nas płaczą.
Życie nie gaśnie, życie płynie ciągle
I tych którzy zostają z sobą ciągnie.
Kiedy już umrę i prochem się stanę
Czy będę dalej żył w sercach kochanych?

(„Pożegnalna pieśń starca", tłum. Zbigniew Dmitroca)

W języku rosyjskim wiersz płynie cudownie, wiem, że po polsku nie będzie tak brzmiał.

— Przyszedł czas na mówienie prawdy — dopowiada.

— Nie obawia się pan niczego? — pytam

— Nie. Skończyłem pięćdziesiąt lat. Jeżeli mężczyzna tyle przeżyje i zrobi coś w życiu, co uważał za ważne, może śmiało powiedzieć, że życie przeżył godziwie. Lata, które są jeszcze przed nim, to dar Boża i należy je poświęcić prawdzie, dobru, ludziom... Nie boję się już niczego — piszę co myślę, moje pismo też idzie po tej linii.

NIE obędzie się bez Karabachu. Mamed I bierze z półki poskręcany konwulsyjnie, rozstrzelany kikutami korzeń:

— Przywiozłem go z Karabachu. Przypomina człowieka, który wziął kamień i z bólu uderzył się nim w głowę — wpuściliśmy na swoje ziemie obcych, a oni teraz nam je zabierają. Drugi kamień, pod stopami symbolizuje naszą ziemię, nasz Karabach. Chcę, żebyście wzięli go do Polski, na pamiątkę.

— Wszyscy w świecie mówią, że Turcy mordowali Ormian, lecz nikt nie pyta dlaczego... — Mamed II zawiesza głos.

Zapada cisza. Jest w niej coś mistycznego, niemal sakralnego, zapytać „dlaczego", znaczyłoby zachować się prostacko. Czekam. Lecz on nic więcej nie mówi. Lubię ich, chciałbym, aby połączyła nas przyjaźń, ale historia jest nauką o faktach: w 1878 roku tylko interwencja wojskowa Rosji uratowała Bułgarów od powszechnej rzezi ze strony Turków, Turcy w 1813 krwawo pacyfikowali Serbów, w latach 1821-29 tłumili powstanie Greków, przez cały XIX wiek — powstania w Albanii. W 1822 roku na jednej małej wyspie Chios wojska tureckie w kilka dni wymordowały 23 tysiące mieszkańców a 47 tysięcy sprzedano w niewolę. (Dla porównania: w powstaniu styczniowym zginęło 36 tysięcy Polaków, 38 tysięcy zesłano na Sybir). I wreszcie 24 kwietnia 1915 roku — z rąk Turków zginęło półtora miliona Ormian (niektóre źródła podają dwa miliony).

Korzenie wzajemnej nienawiści są uchwytne — to jeszcze XX wiek, ale prawda, którą chciałem odkryć umyka w pomrokę dziejów — czuję się bezradny. Trzeba byłoby tu żyć lata, żeby pojąć. Na pewno bestialstwo osmańskiej Turcji sprzed kilkudziesięciu lat nie tłumaczy brutalnych metod postępowania dzisiejszych Ormian, można jednak zrozumieć ich przyczynę. Że wymagają napiętnowania, to sprawa poza dyskusją. Rzecz sprowadza się do oczywistości: silniejszy bije słabszego (od zarania cywilizacji), i wyjaśnianie, że Turcy z Azerbejdżanu to inni Turcy niż ci, żyjący w samej Turcji, że część rdzennych ziem Ormian znajduje się akurat nie w Azerbejdżanie, a w Turcji, jest sprawą drugą.

Patrzę na pokręcony korzeń z Karabachu stojący na moim biurku i widzę płonące oczy Mameda II:

— U poety niet kariery, u poety sudba — jakbym usłyszał przed chwilą.

(Koniec odcinka 8. — dokończenie nastąpi)

„GUARDIAN"

pracują w innym rytmie. „Stoliki dyżurne" funkcjonują jednak do godziny 1.30 w nocy; na wypadek, gdyby wydarzyło się coś niezwykłego.

Na drugim piętrze mieści się archiwum. Miarą popularności naszego kraju niech będzie fakt, że „polonica" liczą ponad trzydzieści opasłych tomów, pełnych wycinków prasowych dotyczących Polski i obejmujących dzieje naszego kraju od 1945 roku. Jest również biblioteka źródłowa i centrum informacji komputerowej. Dziennikarze „Guardiana" nie korzystają z pomocy „researcherów". Sami docierają do ważnych dla siebie informacji, choć każdy z nich posiada asystenta.

W GAZECIE obowiązuje wysoka specjalizacja. Są leader writers — ludzie, których zadaniem jest opatrywanie tekstów odpowiednimi tytułami, columnists — komentatorzy, editors — odpowiednicy naszych sekretarzy redakcji (dla każdego działu oddzielnie), korespondenci od poszczególnych obszarów politycznych (nadrzędni wobec foreign correspondents — korespondentów pracujących w poszczególnych krajach), editorial writers — specjaliści od komentarzy odredakcyjnych, interviewers — ludzie specjalizujący się w przeprowadzaniu wywiadów itd. Szansa na napotkanie w redakcji redaktora naczelnego (editor-in-chief), jest równa szansie spotkania pani Thatcher na spacerze w Regent's Park. Właścicieli gazety można zaś oglądać jedynie w galerii portretów.

Jest w „Guardianie" także takie stanowisko jak „copy". To maszynistka, która przekłada na drukarkę komputerową dyktowany telefonicznie tekst. W przypadku korespondencji zagranicznych redakcja woli łączność telefoniczną od teleksowej czy telefaksowej. Istnieje wówczas możliwość pogłębienia tekstu czy wyjaśnienia niejasności. Maszynistki dysponują indeksem nazwisk wszystkich liczących się zagranicznych polityków, by maksymalnie ograniczyć konieczność literowania.

BRYTYJSKA prasa zawsze miała opinię wyznacznika światowego standardu. „The Times", „The Daily Telegraph", „The Independent" nie tylko odzwierciedlają fakty i przekazują informacje, ale także w dużym stopniu same kształtują politykę i organizują świadomość zbiorową Brytyjczyków. Liczy się także prestiż wynikający z długowieczności tych pism i tradycyjnej niezależności brytyjskiej prasy od wszelkich czynników dyspozycyjnych. „The Guardian" należy również do tej grupy. Uważa się go przy tym za dziennik najmniej bodaj angielski w charakterze, a bardziej kontynentalny, europejski i kosmopolityczny. „Cenię «Guardiana» najbardziej za jego postawę «europejskiego środka», ostrość, ale i obiektywizm relacji, umiar, ale i twórcze uniesienie" — powiedział mi niedawno Jan Bisztyga, rzecznik prasowy KC PZPR.

Żelazną regułą wyznaczającą pracę dziennikarza prasy brytyjskiej jest zakaz używania pierwszej osoby liczby pojedynczej. „Ja", „moim zdaniem", „jak sądzę" są zwrotami niedopuszczalnymi w druku. W trosce o maksymalny obiektywizm przekazu eliminuje się indywidualne opcje na rzecz tekstów bezosobowych, gęsto wspomaganych cytatami. Za największe przestępstwo zawodowe uważa się wszelką dezinformację, a za elementy „fantazyjne" w dziennikarskiej relacji — odbiera się wszelkie nagrody przyznane w dziedzinie „non-fiction" (reportaż niebeletrystyczny). To właśnie te reguły współtworzyły wiarygodność mass mediów na Wyspie. Tylko magazyny o określonym profilu mogą drukować osobiste refleksje bądź wynurzenia.

Owa bezosobowość nie oznacza wszakże, że pisma pozbawione są własnej tożsamości ideowej. Wręcz odwrotnie. Czytelnik zawsze wie, z jaką orientacją może się spotkać na łamach konkretnej gazety.

„The Guardian", na przykład nigdy nie ukrywał swej dezaprobaty dla thatcherowskiej idei klinicznego kapitalizmu. Gazeta opublikowała ostatnio humorystyczną książeczkę „Historia świata według Małgosi Thatcher", w której pomieszczono cytaty z przemówień pani premier odnoszące się do najważniejszych wydarzeń bądź postaci z ludzkich dziejów (np. Judasz — to człowiek, który pierwszy zdał sobie sprawę z zalet indywidualnej przedsiębiorczości). „Guardian" zawsze wyśmiewał post-imperialne ciągoty Brytyjczyków, wszelkie szowinizmy i izolacjonistyczne fobie. Jego czytelnikami są przede wszystkim intelektualiści, naukowcy, działacze związkowi, ale także studenci czy właściciele drobnych przedsiębiorstw o prokontynentalnej orientacji. Wobec wstrząsów z jesieni ubiegłego roku, kiedy to nagle rozpadł się monolityczny obraz brytyjskiej gospodarki (z nadwyżki budżetowej obserwowanej pod koniec 1988 roku nie pozostało nic, grudzień 1989 ujawnił deficyt w wysokości 24,8 miliarda dolarów), prosperita „Guardiana" wydaje się być niezagrożona. Gazeta zawsze zresztą trzymała się dobrze.

Grupa korespondentów zagranicznych zajmująca się tylko Europą Wschodnią liczy obecnie dwadzieścia siedem osób. Zdumiewa ich kompetencja i znajomość spraw naszego regionu. „Guardian" wciąż udowadnia, że nie stracił politycznego „nosa". Nowoczesne dziennikarstwo polega bowiem na pełnej świadomości zjawisk zmieniających zastany porządek świata; na swoistej doktrynie kompleksowego, szybkiego reagowania. Taka jest właśnie dewiza tego pisma „o własnym obliczu" — jak głoszą jego reklamówki, jednej z najpoważniejszych gazet na światowym rynku wydawniczym.

Rozterkotany ruch w budynku przy Farringdon Road daje dobre wyobrażenie o międzynarodowej gorączce informacyjnej. Postawa pracowników „Guardiana" i ich styl pracy wciąż przypominał mi podobną rzeszę agresywnych, uzbrojonych w najnowocześniejszy sprzęt amerykańskich reporterów przybyłych do Polski z prezydentem Bushem. Wówczas także myślałem o tym, jak cicho i melancholijnie wyglądają w zderzeniu z tym światem choćby małe, kiszkowate pokoiki w redakcji „potężnej" „Polityki", jak daleko odstaje od niego nasz dziennikarz wyciągający z kieszeni oprawny w dermę notesik, bądź mocujący się bezradnie z magnetofonikiem firmy ZRK Lubartów.

WYZNANIE ORŁA

Dokończenie ze str. 6

- Czy można mówić, że tak mej odpłacili wam za waszą służbę godnie?

— Proszę pana, alianci odpłacili nam za naszą wierną służbę paktem jałtańskim i to jeszcze wtedy, kiedy my przelewaliśmy krew nic nie wiedząc o sprzedaniu nas Stalinowi. Pamiętam, jak po ciężkich lotach, walce, po stracie kolegów zawsze pocieszaliśmy się, że wrócimy do wolnej Polski i wylądujemy na naszych pięknych „Mustangach", „Halifaksach" i „Spitfire'ach" na lotniskach Warszawy, Lwowa, Wilna, Dęblina, Poznania. Trudno dziś uwierzyć, jak wtedy byliśmy naiwni...

— Pan do „Polski Lubelskiej" wracać nie chciał, mimo iż był z... Lubelskiego.

— Ja nie chciałem wracać do Polski z komunistycznym rządem. Wkrótce okazało się, że miałem rację. Co się działo z kolegami, którzy wracali? Nie uszanowali nawet Stasia Skalskiego, najlepszego z najlepszych!!! Za naszą krew płacili więzieniem, torturami, śmiercią. Czyja to była ojczyzna?!

— Co wybrał pan zamiast tej Polski?

— W 1948 roku wykupiłem bilet okrężny z Anglii do Argentyny, Brazylii, Kanady i USA. Najbardziej spodobało mi się w Kanadzie i tam złożyłem papiery emigracyjne. Jednak w Nowym Jorku poznałem moją przyszłą żonę Wandę (z domu Leitzke), uroczą warszawiankę. Ona namówiła mnie na Amerykę. W Nowym Jorku wzięliśmy ślub i tu zamieszkaliśmy. Tu urodził się przed 40 laty nasz jedyny syn, Jan. Tu przez trzydzieści lat pracowałem, w fabrycznych oddziałach angielskich firm samochodowych „Austin", BMC, „Leyland" i „Jaguar". Tu przeszedłem na emeryturę. Zapewne też tu zakończę swój lot...

— Nie ciągnie pana w rodzinne strony?

— Ależ naturalnie! Zresztą ja te moje strony odwiedzałem. Byłem w Polsce po wojnie pięciokrotnie; ostatni raz — latem tego roku. Tam mieszkała moja matka. Zmarła przed piętnastoma laty, a pochowana jest na lubelskiej nekropolii przy ulicy Lipowej. Tam spoczywa mój ojciec i dziadek, pierwszy prezydent Lublina po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. W Lublinie żyje mój brat Andrzej, emerytowany wykładowca KUL i tłumacz literatury skandynawskiej. W Warszawie zaś siostra Krystyna, z Kołaczkowskich Dunin-Łabędzka. Tu są moi koledzy: Staś Skalski, Polo Łokuciewski, Wacek Król i inni, z którymi odsłaniałem w tym roku pomnik ku czci poległych polskich lotników w Krakowie. Tu wreszcie, co mówię ze specjalnym wzruszeniem, żyją jeszcze mieszkańcy Pliszczyzna, którzy pamiętni działalności mojej matki, Róży Kołaczkowskiej — chcą nazwać jej imieniem drogę do Lublina. Jak mam to zostawić?!

— Widać nie można.

Rozmawiał: **Waldemar Piasecki**
New York, Forest Hills, 22.12.1989 r.

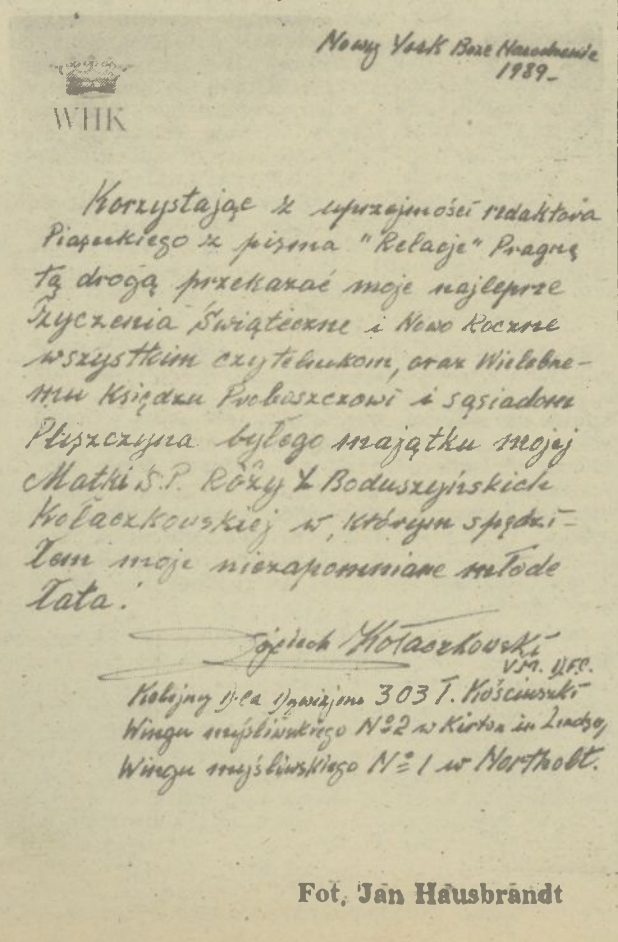

Fot. Jan Hausbrandt

Wodoszczelne TISSOTY wisiały na łańcuszkach

KAŻDY, kto mieszkał w Lublinie choć parę lat, potrafi wskazać ten sklep. Kilka pokoleń lublinian kupowało tu złote obrączki, zegarki i wyroby jubilerskie. Po wojnie wszystkie sklepy upaństwowiono. Ten też. I chociaż ostatni jego właściciel dawno nie żyje, to jednak nazwisko i renoma przetrwały, a lublinianie do dziś nie mówią inaczej jak „u Kalickiego".

Dzieje rodziny Kalickich jawią się niczym amerykańskie historyjki o pucybucie-milionerze. No, może z tą różnicą, że w naszej opowieści pojawiają się jeszcze wątki socjalistycznej gospodarki i zarządzania oraz powojennej „bitwy o handel" wydanej sanacyjnym sklepikarzom.

KORZENIE

W połowie XIX wieku Kaliccy byli posażną, ziemiańską rodziną. Ich majątek rozpościerający się na pagórkach Sławinka, dziś jednej z dzielnic Lublina, stanowił pokaźną fortunę.

— Całe nieszczęście polegało na tym, że dziadek miał pociąg do hazardu — wspomina najstarsza osoba w rodzinie, Jadwiga Prawecka z domu Kalicka, mieszkająca obecnie w Bydgoszczy. — Nie był on dobrym gospodarzem, a karciane długi stale rosły, aż wreszcie zjadły cały majątek. Los chciał, że mój ojciec Aleksander oraz jego rodzeństwo: Wanda i Jan dorastali już jako sieroty. Nie muszę chyba tłumaczyć, że wszystkie te okoliczności radykalnie zmieniły ich położenie i utrudniły start w dorosłe życie.

Dwójkę rodzeństwa zabrał do swojego majątku na Wołyniu wuj ojca. Wujenka, z pochodzenia Francuzka, choć nie miała specjalnego wykształcenia, wychowywała Wandę i Jasia jak potrafiła. Jan Kalicki już jako dojrzały mężczyzna znalazł się w armii carskiej i, zanim wrócił do kraju, przez pięć lat służył na Syberii. Natomiast mój ojciec, Aleksander trafił do bezdzietnego, starszego małżeństwa, które wzięło go na wychowanie. Mieszkali oni w Lublinie przy ulicy Zamojskiej (obecnie ul. Kardynała Wyszyńskiego i dalej M. Buczka — przyp. aut.) i tam prowadzili warsztat złotniczy. Jeżeli mnie pamięć nie myli nazywali się Jesz. U nich ojciec nauczył się jubilerskiego fachu.

Jak pamiętam z opowiadań ojca, był on nie tylko zdolnym i wdzięcznym uczniem ale i dobrym synem. Przybrani rodzice żywili go i utrzymywali, kształcili, a potem jeszcze wyposażyli na dorosłe życie. Zapisali mu w testamencie cały swój majątek, dali warsztat, w którym zaczął pracować na własny rachunek. Tak to się wszystko zaczęło...

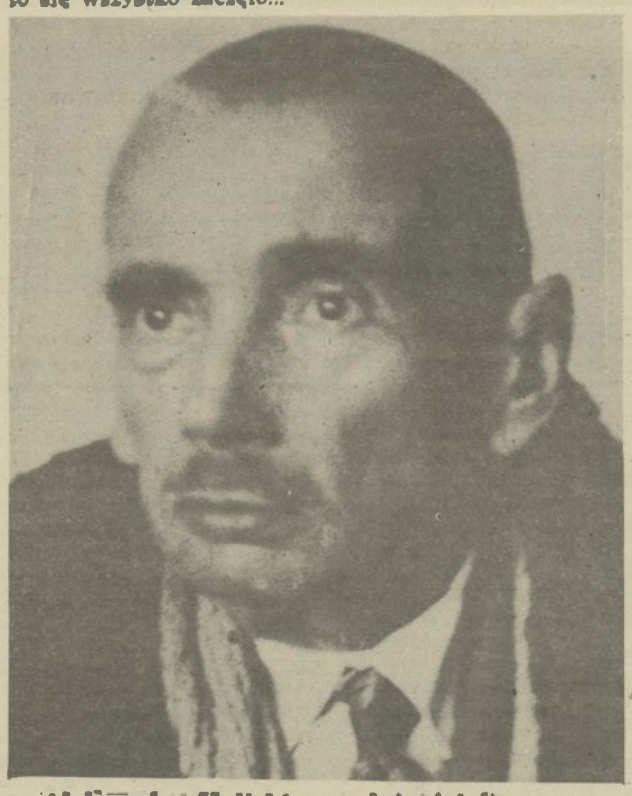

Aleksander Kalicki — założyciel firmy

W warsztacie przy Zamojskiej, Aleksander Kalicki spędził lata 1888—1914. Wyrobił sobie wśród klientów renomę, zbił całkiem pokaźny kapitał, mógł pomyśleć o lokalu na sklep w lepszym punkcie miasta. I tak trafił na Krakowskie Przedmieście 1, obok kościoła Świętego Ducha.

Wyposażenie sklepu, które polecił wtedy wykonać znajduje się w sklepie po dzień dzisiejszy i nadal doskonale służy. Jest stalowa kasa pancerna, którą ponoć bez skutku próbowali sforsować w 1944 roku Rosjanie, są te same lady i regały wystawiennicze. Wnętrze sklepu również niewiele się zmieniło.

Oprócz lokalu przy Krakowskim Przedmieściu, Kalicki zakupił także dwupiętrową kamienicę przy Namiestnikowskiej (obecnie Narutowicza 34). Kosztowała wtedy 150 tysięcy rubli. Rodzinny majątek rozrastał się z roku na rok. W kilkanaście lat później dokupiono jeszcze pomieszczenia na skład i warsztaty przy klasztorze Kapucynów.

O siedemnaście lat młodsza żona, wychowanica ks. Ignacego Kłopotowskiego, dała Aleksandrowi siedmioro dzieci, z których czworo zmarło w dzieciństwie. Przeżyła trójka: Kazimierz, Marian i wspomniana już Jadwiga Prawecka. W 1923 roku Kazimierz uzyskał prawa do wykonywania zawodu jubilera i on został spadkobiercą rozwijającego się interesu. Marian zajął

Skład i warsztat jubilerski. Sprzedaż dewocjonaliów przy klasztorze i kościele Kapucynów na Krak. Przedmieściu

ZMIERZCH

Marek Podgajny

się studiami prawniczymi, a potem swoją adwokaturą.

Akt sporządzony u notariusza Kunickiego stwierdzał, że sklep przy Krakowskim Przedmieściu 1 oszacowano wraz z wyposażeniem i znajdującymi się tam precjozami oraz innymi przedmiotami przeznaczonymi do handlu, na sumę „12 tysięcy dolarów amerykańskich, co stanowi w złotych polskich 107 tysięcy 040 złotych, licząc złotych 8 groszy 92 za 1 dolara". Marian był właścicielem jednej trzeciej, reszta należała do Kazimierza. Tak powstała firma „Aleksander Kalicki i Syn. Magazyn Jubilersko-Zegarmistrzowski i Skład Wyrobów Kościelnych".

Aleksander już niedługo zajmował się sklepem. Schorowany, zaszył się w domowych pieleszach. Zmarł w 1942 roku.

INTERES NABIERA RUMIEŃCÓW

Zasada była prosta. Jeżeli ktoś miał firmę albo sklep nie na pierwszym lub drugim piętrze, lecz na parterze, to była to firma dobra. Jeżeli ktoś miał sklep nie od podwórza, a od ulicy — to interes był jeszcze lepszy. Jeżeli zaś była to reprezentacyjna ulica miasta, to firma była ekstra, a sklep luksusowy. Taki punkt przy Krakowskim Przedmieściu miał właśnie Kalicki. Oprócz niego — Magierski, Ignaszewski, Czapski i inni znani lubelscy handlowcy.

Kalicki sprzedawał wyroby luksusowe i, odpowiednio do tego luksusu, drogie. Rzeczy tańsze — jak mawiano — sprzedawali Żydzi przy Lubartowskiej, ale tam żaden Polak, jeżeli go było stać, nie chodził.

Kalicki handlował przede wszystkim ze Szwajcarami, sprzedawał także francuskie budziki precyzyjne JAZ. Wodoszczelne cebule firmy TISSOT wisiały u niego na łańcuszkach... zanurzone w akwarium, na dowód, że są rzeczywiście „nieprzemakalne". Gdy trafił się chętny, właściciel wyjmował zegarek spośród pływających rybek, starannie wycierał flanelką, pokazywał, że działa i wtedy dopiero kazał pomocnikowi pakować. Były w ciągłej sprzedaży także Omegi i Patki, cieniutkie niczym złote listki jesienią. Jak dobry był to towar, świadczy fakt, że wykonane w szlachetnym kruszcu zegarki firmy Patek o podobnym standardzie co przed wojną, kosztują dziś najmniej 2500—3000 dolarów. Jeden z zegarków kieszonkowych zrobiony na specjalne zamówienie, spełniający 33 funkcje, składający się z 1788 części — został ostatnio sprzedany na aukcji za sumę 2,7 miliona dolarów. U Kalickiego najprostszy zegarek damski kosztował nie mniej niż 40 złotych.

Ze Szwajcarami Kalicki rozliczał się w niezrozumiały w naszych czasach sposób: na słowo honoru. Brał najpierw całą serię zegarków, sprzedawał je w sklepie, złotówki wymieniał na dolary i płacił producentowi dopiero przy pobraniu kolejnej dostawy. Obywało się bez faktur, zaliczek, poręczeń itp. Wystarczyło zaufanie. Podobnie było ze złotem kupowanym dosłownie wszędzie. Srebro natomiast przywoził z Rosji, bo było najlepsze i miał stałych, dobrych kontrahentów. Dostawcami wyrobów dekoracyjnych, tac, sztućców, lichtarzy oraz przedmiotów liturgicznych, były firmy: Fraget, Heneberg i Wolski.

W sklepie zatrudnionych było 4—5 osób. Przy wejściu zawsze stał drzwiowy, który taksując klientów wzrokiem, oceniał stan ich sakiewki i co bogatszym

zanurzone... w akwarium

BLASKU ZŁOTA

rozwierał dźwierze staropolskim gestem zapraszając do środka. Klientelę stanowiło przede wszystkim mieszczaństwo, lecz rzeczy kosztowniejsze znajdowały wzięcie, co zrozumiałe, tylko wśród ziemiaństwa i miejscowych notabli, przemysłowców i ludzi interesu. Takim stałym klientem był swego czasu właściciel fabryki wag — Hess, Czech z pochodzenia.

Oprócz sprzedaży gotowych wyrobów ze złota i srebra, przyjmowano również specjalne zamówienia na wykonanie biżuterii z materiału powierzonego. W warsztacie Kalickiego, gdzie pracowało kilku mistrzów i czeladników powstała w ten sposób niejedna kolia, naszyjnik, czy broszka. A także przedmioty osobistego użytku z wygrawerowanymi inicjałami i nawet herbami. Dokonywano także przeróbek biżuterii, wykonywano różnego rodzaju dewocjonalia, krzyżyki, medaliki, kielichy mszalne, patery.

„NIUŚKO, KRÓLOWO MOJEJ KORONY"

— taką inwokacją rozpoczyna się jeden z liścików Kazimierza Kalickiego do żony Bronisławy.

— Dziadek często załatwiał interesy w sklepie, więc posyłał służącego do domu z wiadomością, że wróci później, albo pisał list. Jeden z nich, nabazgrolony na skrawku firmowego papieru brzmi następująco — opowiada czterdziestoletni Jacek Kalicki, wnuk Kazimierza, prawnuk Aleksandra w linii prostej. — „Niuśko, Królowo Mojej Korony! Daj Proporowi winiak, kiepskie talerze, ogórki lub grzyby (te mało smaczne) i co uważasz. Cudku śliczny, moja Miss Brońciu. Kazik. Ps. Śledzie".

— On bardzo kochał swoją Niusię. Był w wojsku, gdy się poznali i zaczęli myśleć o wspólnej przyszłości. Babcia pochodziła z wielodzietnej rodziny urzędniczej i gdzie tam było jej rodzicom równać się z Kalickimi. Groziło mezaliansem. Dziadka przeniesiono więc do innej jednostki, ale on przez umyślnego nadal posyłał Brońci gorące listy. Aż wreszcie pobrali się w kwietniu 1926 roku w kościele św. Pawła w Lublinie. Teść bardzo szybko ją polubił, wykształcił, wprowadził nawet do sklepu i nauczył kierować, tak że wkrótce babcia była faktycznym szefem całego interesu, a dziadek Kazimierz tylko załatwiał towar. Ona umiała zachować się za ladą. Doradziła, pomogła wybrać. Gdy widziała, że kogoś nie stać było na coś droższego, dyskretnie podsuwała tańsze rzeczy. I choć była żoną znanego i majętnego jubilera, sama nie chodziła w biżuterii. Miała za to swój jeden ulubiony pierścionek.

Dziadka nie znałem, urodziłem się 5 lat po jego tragicznej śmierci. Babcia zawsze wspominała go bardzo czule. Mówiła, że był rubaszny i towarzyski, zawsze pogodnie usposobiony, uśmiechnięty do całego świata.

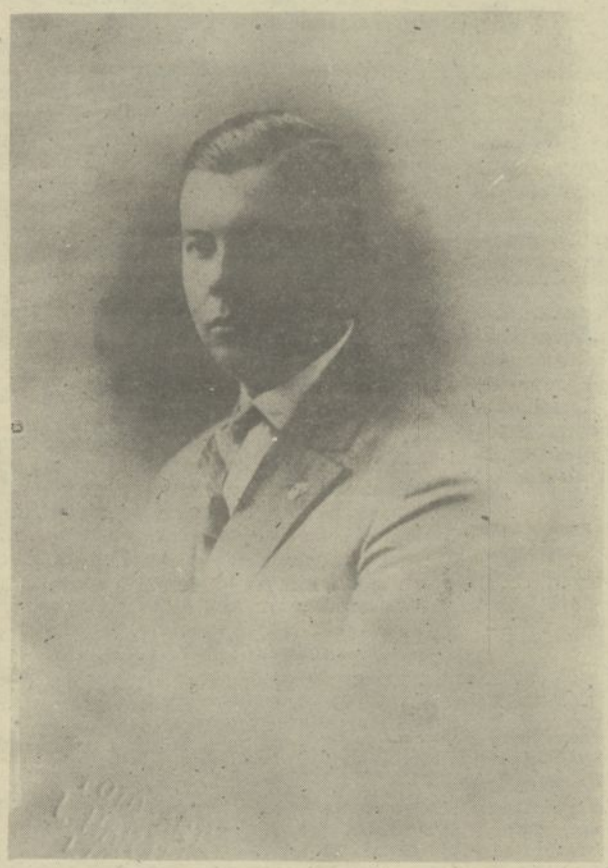

Kazimierz Kalicki

We wrześniu 1939 roku, gdy samoloty niemieckie zięły niebo nad miastem, wszystkie sklepy w Lublinie były pozamykane, tylko Kalicki jeszcze handlował. Po niedługiej przerwie wznowił działalność, i tylko zmienili się klienci i towar. Znikł dawny luksus i przepych, szły rzeczy najprostsze: obrączki, drobne pierścionki, kolczyki. Wielu ludzi wyzbywało się złota, żeby tylko mieć pieniądze na życie.

W listopadzie 1940 roku któryś kolega wywołał Kazimierza ze sklepu na ulicę, pod pozorem interesu do zrobienia. Gdy wyszedł, cywile wepchnęli go do podjeżdżającego samochodu. Inna wersja mówi, że Kalickiego aresztowano podczas łapanki ulicznej. Po krótkim pobycie w gestapo „Pod Zegarem", trafił za druty Oświęcimia.

Jolanta, żona Jacka Kalickiego starannie przechowuje w blaszanym pudełku komplet listów i kartek napisanych przez Kazimierza w obozie. Wszystkie zaczynają się od słów: „Meine Liebe Niuśka", a kończą się zawsze takim samym podpisem — „Twój Kazik". Z tego czasu zachowała się płócienna, wytarta na rogach, obozowa torebeczka zawieszona na sznurku. Przechowywana jest razem z rodzinnymi papierami i poblakłymi zdjęciami jak najświętsza relikwia. W pudełku wielkości dużej bombonierki mieści się wszystko to, co zostało po tamtych Kalickich — jubilerach.

Bronisława, zaraz po aresztowaniu męża podjęła starania o dotarcie do „kompetentnych" Niemców. Poprzez lubelską prostytutkę trafiła do pewnego gestapowca, który miał to zadanie ułatwić. Podobno była nawet ze swoją sprawą u jednego z najbliższych współpracowników gubernatora Hansa Franka, który za plecami swego szefa zwolnił Kazimierza Kalickiego z Oświęcimia. Ile kosztował ten „cud" czasów okupacji, nie dowiemy się chyba nigdy.

Los zadrwił jednak z bogatego jubilera, oficera rezerwy, w konspiracji instruktora przysposobienia wojskowo-konnego. Wydawać by się mogło, że nic gorszego od tego, co przeszedł spotkać go już nie może. A jednak...

ZNÓW „POD ZEGAREM"

Wiosną 1944 roku przed dom Kalickich zajechały ciężarowe budy. Podczas dokładnej rewizji przeprowadzonej w całej kamienicy, Niemcy aresztowali kilkanaście osób, w tym kilka kobiet. Kazimierz Kalicki — po niespełna czterech latach — znów znalazł się „Pod Zegarem". Niebawem kobiety zwolniono, zaś mężczyzn, po przesłuchaniach, przewieziono do więzienia na lubelskim Zamku.

Trudno coś powiedzieć na temat powodów tego aresztowania. Wszystko, co się wtedy wydarzyło, wyglądało na zaplanowaną akcję. Być może bezpośrednio dotyczyło to Kalickiego? Czy też został aresztowany jako właściciel kamienicy, w której Niemcy coś znaleźli? Bronisława Kalicka przebywająca w tym czasie z rodziną w Grodzisku Mazowieckim, wróciła czym prędzej do Lublina i tak jak poprzednim razem, zaczęła szukać kontaktów z oficerami służby więziennej na Zamku.

Dni płynęły, od wschodu słychać było coraz wyraźniejsze pohukiwania radzieckich armat, gdy wreszcie udało się dojść „do porozumienia" z pewnym hitlerowskim oficerem, który miał Kalickiego wyprowadzić z Zamku. Niemiec ponoć zdążył nawet wziąć teczkę z biżuterią i złotem, ale nie zdążył go ocalić.

Wincenty Kwater, więzień z celi numer 8 tak opisuje — w monografii pt. „Hitlerowskie więzienie na Zamku w Lublinie" — swe ocalenie z masakry na Zamku w dniu 22 lipca 1944, w ostatnim dniu okupacji:

„Więźniowie rzucali się pod łóżka i nie chcieli wychodzić. Gdy wychodziłem zobaczyłem nad sobą obraz Matki Boskiej, pomodliłem się i zobaczyłem wokoło róże, aleję róż jakby u mnie w domu, wreszcie przy celi 35 ocknąłem się, staliśmy parami. Po dwu wchodziliśmy do celi 35. Tu stał taboret, przy którym schylaliśmy się, a Niemcy strzelali w tył głowy. Ja miałem postrzał po czaszce. Chwycili mnie za nogi i odrzucili jako zabitego. Na mnie rzucili Kalickiego, który jeszcze charczał. Po chwili podszedł do niego Niemiec i strzelił mu w głowę, a kula przeszyła czaszkę na wylot i utkwiła mi w nodze, do dziś ją mam. Potem puścił po leżących ciałach serię z karabinu maszynowego, od której dostałem pięć postrzałów".

Marian Kalicki, lubelski adwokat, tak wspomina tamten dzień:

„Około drugiej — trzeciej po południu grupa ludności cywilnej oraz ja dostaliśmy się na Zamek, gdzie na korytarzach i w celach leżały zwłoki zamordowanych przez Niemców. Według moich spostrzeżeń było tam 700 zwłok zamordowanych (...). Wobec rozpoczęcia działań wojennych na terenie m. Lublina, przerwałem poszukiwania zwłok brata w dniu 22 lipca i dnia 26 lipca spośród stosu ofiar mordu hitlerowskiego odszukałem brata mego w celi na piętrze więzienia".

NIEPOGODA DLA BOGACZY

— Sklep i warsztat Kalickiego przez pierwsze lata po okupacji był jeszcze czynny. Prowadziła go wdowa po Kalickim. Widać jednak było, że nadchodzą ciężkie czasy dla prywaciarzy — wspominają tamten okres Józef Jankowski, który w 1941 roku, mając 18 lat, rozpoczął pracę w pracowni oraz Aleksander Kopyciński, pracujący tam od 15. roku życia. — Zaczęli ich wysiedlać z mieszkań poza miasto. Upaństwowiono wszystkie sklepy, bez względu na to czym handlowały. W 1950 roku Kalicka nie miała już firmy. Sklep z warsztatem przerobiono na spółdzielnię jubilerską, aby w połowie 1952 roku przyłączyć ją do centrali w Warszawie.

— Nam nie wolno było prywatnie pracować w zawodzie. Posiadane złoto, na którym pracowaliśmy, musieliśmy zdać do depozytu w banku, mogliśmy tylko dłubać w srebrze, ale i tu były ograniczenia. Ja — mówi Józef Jankowski — w latach pięćdziesiątych rzuciłem zawód i zamiast robić w złocie, pracowałem w budownictwie.

— Zarabialiśmy u Kalickiego dużo, około 50 proc. od sumy, na którą stało zamówienie. Był dobrym szefem, miał 4. czeladników i 3. mistrzów, z których każdy był świetnym fachowcem. Po wojnie, w ciągu kilku zaledwie lat wszystko się rozpadło, wszystko zniszczono bez zastanowienia. Bo czy później, razem z dzisiejszymi czasami, były takie wyroby i takie sklepy? Dziś nie ma nawet tych narzędzi co dawniej, robi się byle co, byle jak. Gdzieś w latach siedemdziesiątych widziałem ostatni raz kolię wykonaną w platynie z około 30—40 brylantami od jednego do dwa i pół karata. Gdzie dziś można kupić takie cacko, kto potrafi je zrobić?

Wraz z końcem sklepu i pracowni złotniczej, nadszedł także koniec rodzinnej fortuny. Wojna i pierwsze lata w Polsce Ludowej pochłonęły to co wypracował Aleksander, a później Kazimierz. Zostały resztki, wspomnienie lat świetności.

— Babcia opowiadała, że był to początek lat 50. Miałem może roczek, leżałem w łóżku z wysoką temperaturą — mówi Jacek Kalicki. — Wieczorem, gdzieś koło szóstej ktoś zastukał do drzwi mieszkania w naszej kamienicy. Babcia otworzyła. Jakiś mężczyzna w cywilu pchnął ją pod ścianę, za nim weszło jeszcze kilku innych. Nie przedstawili się. Jeden, z zeszytem i ołówkiem w ręku, zaczął mierzyć krokami pokoje. Przed wyjściem poinformował, że mamy się spakować, za dwa tygodnie przyjdą podwody i będziemy się wyprowadzać.

Wywieźli nas dwiema furmankami. „Lokal zastępczy" w postaci komórki, z której widać było gwiaździste niebo, babcia otrzymała w Zemborzycach. Przed wojną trzymano tam kury.

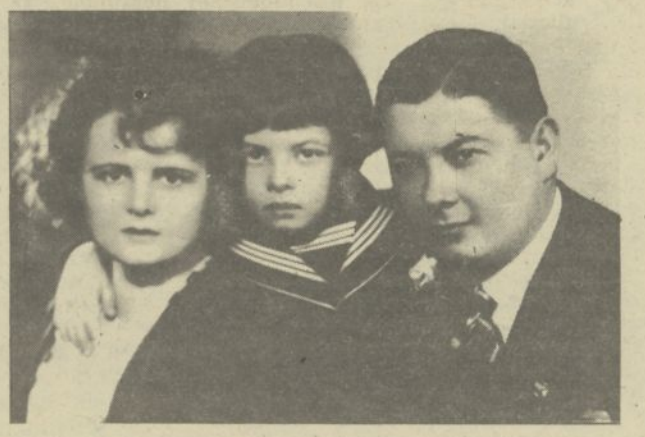

Rodzina Kalickich: Bronisława, syn Mieczysław oraz Kazimierz.

Miała też poważne kłopoty z otrzymaniem pracy. Przez pewien czas po upaństwowieniu sklepu pracowała tam jako rzeczoznawca. Musiała jednak odejść. Długo nie mogła nic dla siebie znaleźć. Z jubilerstwem nie miała już nigdy do czynienia.

Jacek Kalicki na przełomie lat 50. i 60. zdawał do Liceum im. St. Staszica. Zdał, ale nie został przyjęty. W dorosłym życiu próbował być żołnierzem służby zawodowej, skończył technikum mechanizacji rolnictwa a pracował jako kierowca. Od września br. jeździ po Lublinie taksówką — czerwoną ładą.

Kaliccy mieszkają w Lublinie, w Warszawie, rozsiani są po kraju. W zawodzie jubilera-złotnika nie pracuje żaden z nich.

Bronisława Kalicka zmarła w 1988 roku. Często bawiła się ze swoim prawnukiem — synem Jacka — w sklep jubilerski. Ważyli na szalkach złoto, specjalistycznymi miarkami wyznaczali brylantom ilość karatów. Kamyki sprzed bloku udawały brylanty i szlachetne kruszce, a wspomnienia i zabawa z prawnukiem zastępowały te kilkadziesiąt metrów powierzchni przy Krakowskim Przedmieściu 1, gdzie spędziła połowę swego życia.

PS. Zbierając materiały do napisania tego tekstu napotkałem na wiele niejasności, spornych ze sobą wersji wydarzeń. Z oczywistych względów nie dotarłem do wszystkich ludzi, którzy znali rodzinę Kalickich bliżej, którzy u nich pracowali, którzy mają coś do powiedzenia na temat ich losów i wydarzeń z nimi związanych. Także o innych znanych lubelskich firmach i biografiach ich właścicieli. Proszę o dalsze informacje, uzupełnienia i ewentualne poprawki — czekam na listy.

Zdjęcia z rodzinnego archiwum.

Reprod. Waldemar Stępień

KRÓTKI KURS PODATKOWY NA UŻYTEK OBYWATELI I USTAWODAWCY

Tomasz Mickiewicz, Michał Zieliński

PODATKI (obok cen) są bodaj ostatnio przedmiotem największego zainteresowania opinii publicznej. Panuje w tej dziedzinie spory chaos, nawarstwiło się wokół tej kategorii wiele nieporozumień. Być może nasz „krótki kurs...." trochę rozjaśni horyzont.

System podatkowy w Polsce dość istotnie różni się od swoich odpowiedników w krajach niesocjalistycznych. Spróbujmy wskazać na najbardziej istotne różnice:

a) Państwo przejmuje większą część dochodów ludności, niż dzieje się to w większości krajów zachodnich. Ponieważ część operacji finansowych państwa dzieje się poza budżetem, w ramach różnego typu scentralizowanych funduszy, trzeba tu uwzględnić wszelkie obciążenia podatkowe i quasi-podatkowe, również te pozabudżetowe np. wpłaty na ZUS). Adekwatną miarą jest więc całość obciążeń finansowych ludności, wyrażona jako procent produktu krajowego brutto. Dla roku 1985 kształtowała się ona następująco w wybranych krajach europejskich:

Polska	51,9 proc.
Dania	49,2 proc.
Francja	45,6 proc.
Wlk. Brytania	38,1 proc.
RFN	37,8 proc.
Włochy	34,7 proc.
Portugalia	31,1 proc. (2)

Porównując te wielkości, rozbieżność pomiędzy Polską, a krajami zachodnimi może nam się wydawać mniejsza, niż wynikałoby to z różnic ustrojowych. Dzieje się tak jednak dlatego, że nasze państwo ma nadal do dyspozycji wiele pozafinansowych narzędzi oddziaływania na gospodarkę, których przeliczenie i oszacowanie ich ekwiwalentu podatkowego znacznie zwiększyłoby skalę rzeczywistych obciążeń.

Przykładowo, państwo może nakazać przedsiębiorstwom prowadzenie kosztownej sprawozdawczości, bez potrzeby opłacania tego z podatków. Może też stworzyć „preferencje zaopatrzeniowe", subwencjonując tanimi materiałami wybrany przez siebie kierunek produkcji. Podobnie, w wysokości obciążeń nie znajduje odbicia skomplikowany system zróżnicowań i ulg podatkowych. Aby ocenić jego rozmiary należałoby oszacować wysokość podatków bez zwolnień i ulg, a te ostatnie potraktować jako wtórne przepływy z budżetu.

Dodajmy jeszcze jedno. Nieprzypadkowo, w powyższej tabelce, Portugalia, kraj relatywnie ubogi, znajduje się na ostatnim miejscu na skali obciążeń finansowych. Na rozległy sektor państwowy mogą sobie pozwolić kraje bogate, o silnej gospodarce, która wytrzyma narzucone jej obciążenia. Dlatego też mówienie o „modelu skandynawskim" („szwedzkim") w odniesieniu do Polski jest niebezpiecznym anachronizmem. Szwedzi najpierw zbudowali silną gospodarkę, a później zaczęli budować zachodni socjalizm. Nie odwrotnie!

b) Struktura wydatków państwa jest całkowicie odmienna niż w krajach zachodnich. W roku 1987, dotacje i dopłaty do przedsiębiorstw państwowych obejmowały 42,3 proc. całego budżetu. Jeżeli dodamy do tego wydatki na inwestycje i remonty generalne, obejmujące 15,8 proc. to łącznie daje to 58,1 proc. budżetu z przeznaczeniem na finansowanie systemu centralnego planowania, tj. na wspieranie dotacjami i dopłatami pożądanych przez państwo kierunków produkcji. Finansujemy kosztowny monopol państwowego produkowania, akumulowania i inwestowania. Według bowiem znanego określenia O. Langego — „utrata prawa do ustalania stopy akumulacji jest ceną, którą obywatel płaci za prawo przebywania w ustroju socjalistycznym".

To, co w innych krajach jest głównym przedmiotem wydatków budżetowych (oświata i nauka, kultura, zdrowie i pomoc społeczna), u nas stanowi margines. I tak pozycja „ochrona zdrowia i opieka społeczna" obejmowała w budżecie jedynie 10,8 proc. wydatków (1987), podczas gdy na pomoc społeczną przeznaczano w 1985 aż 36 proc. wydatków budżetu USA i 31 proc. wydatków budżetu Wielkiej Brytanii, które to kraje jawią nam się powierzchownie jako kraina drapieżnego kapitalizmu. Aby uniknąć taniej demagogii dodajmy jednak, że u nas poza budżetem pozostaje Fundusz Ubezpieczeń Społecznych, którego wydatki w 1987 roku stanowiły w porównaniu z całością wydatków budżetowych 26,3 proc. Największe dysproporcje dotyczą jednak wydatków na naukę i oświatę.

c) W naszym budżecie występowała dotąd znaczna skala obrotów „brutto". Było bowiem tak, że produkcyjne jednostki gospodarki uspołecznionej (często te same) zarówno wpłacały do budżetu część swoich dochodów jak i otrzymywały niemałą ich część (ponad połowę) w postaci dotacji. W efekcie istnienia skomplikowanego systemu opodatkowania i dotowania produkcji (oraz kontroli cen) trudno z czystym sumieniem powiedzieć, czy konkretny produkt jest rentowny. Sens ekonomiczny tych przepływów jest kompletnie zamazany. Niełatwo wytropić, kto tu kogo właściwie finansuje.

d) Znikomy jest udział budżetów terenowych w budżecie państwa — wynosi on około 15 proc. całości jego dochodów. Współtworzy to tradycyjną sytuację ubezwłasnowolnienia władz terenowych. Mogą one różne rzeczy zamierzać, ale realizacja tych zamiarów zależna jest od dotacji centralnych. W efekcie rachunek ekonomiczny zanika praktycznie na tym szczeblu gospodarowania środkami społecznymi. Nikt w takiej sytuacji nie będzie rozważał kwestii — budować szpital, czy teatr, ale tworzyć będzie takie elementy infrastruktury, na które można wyszarpać ze środków scentralizowanych dotacje. Jeżeli można je dostać na budowę teatru, budowany będzie teatr, i przewidywania dotyczące przyszłych rozmiarów widowni są tu obojętne. Nie jest to brzydki partykularyzm władz terenowych, na który tradycyjnie oburzała się prasa, lecz racjonalne dostosowanie się do ustalonych zasad gry, poparte sensownym argumentem, „że jeżeli nawet nie wykorzystamy tych środków my, wyda je kto inny". Hasło „brać co dają i żądać więcej!" jest logiczną konsekwencją gospodarki opartej na zasadzie rozdzielnictwa.

e) Znikomy jest udział w dochodach budżetowych podatków bezpośrednich: w „najgorszych" latach dostarczały one około 1 proc., a w najlepszych (1985, 1986) około 5 proc. dochodów budżetowych. Dla porównania, udział podatków bezpośrednich w dochodach państw kapitalistycznych waha się od prawie 40 proc. we Francji do blisko 70 proc. w Szwajcarii. Charakterystyczne jest przy tym, że ten stosunkowo nieznaczny odsetek dochodów budżetowych pochodził w Polsce aż z kilkunastu form obciążeń ludności, regulowanych kolosalną liczbą aktów prawnych (np. podatek od wynagrodzeń doczekał się 90 aktów prawnych opublikowanych w „Dzienniku Ustaw" oraz znacznej liczby regulacji niższego rzędu), co sprawia, iż pobór podatku jest czynnością czaso- i kosztochłonną [1] — zdaniem specjalistów — w przypadku wielu płatności nie można wykluczyć zjawiska „deficytowości dochodu".

f) Uwagi zawarte w poprzednim punkcie, oraz — częściowo — w punkcie (a) możemy zaakcentować podkreślając ogromne zróżnicowanie stawek podatkowych i stawek dotacji. W gospodarce mieliśmy dotychczas do czynienia z liczbą około 400 stawek podatku obrotowego zamiast 3—4, jak na Zachodzie. Zróżnicowane podatki obrotowe i zróżnicowane dotacje powodują, że struktura produkcji jest wyznaczana nie przez potrzeby konsumenta, lecz przez politykę produkcji centralnego planisty i przetargi poszczególnych branż na szczeblu centralnym. Z istniejących przepływów finansowych, można odczytać, jakie kierunki produkcji państwo popierało, a jakie starało się tępić. I tak na przykład, tradycyjnie najwięcej dopłat otrzymywali górnicy (a pośrednio i ci, którzy specjalizowali się w energochłonnej produkcji) oraz spółdzielczość mleczarska. Natomiast wśród tych, którzy płacili największe podatki obrotowe możemy znaleźć przemysł środków transportu oraz materiałów budowlanych.

Na podstawie tej ogólnej charakterystyki sytuacji, spróbujmy sformułować kilka postulatów na przyszłość.

1) Wielkość wydatków państwowych powinna ulec ograniczeniu. Postulat ten wydaje się być zgodny z ogólnym kierunkiem reform zawartym w programie rządowym. Katastrofalne dziedzictwo finansów państwa wymusiło obecnie pospieszną likwidację dotacji i to ostatnie można uważać za pewien sukces w walce z socjalizmem. Dodajmy — sukces kosztowny, ponieważ nie będący efektem ewolucyjnej polityki, lecz skutkiem napotkania na nieprzekraczalną barierę rzeczywistości gospodarczej.

Niezwykle ważne jest jednak, aby obok doraźnych zmian w polityce gospodarczej tworzyć stabilne rozwiązania prawne, które przetrwają przyszłe zmiany ekip rządowych i zostawią trwałe dziedzictwo po obecnym okresie. Sądzimy zatem, że co najmniej cztery propozycje są warte rozważenia:

a) Na Zachodzie żywo dyskutowane są projekty zmierzające do wprowadzenia prawnego nakazu (3) równoważenia budżetu. Pociągnięcie takie nasuwa jednak szereg trudności natury technicznej, wynikających choćby z faktu, że dochody państwa nie muszą być tożsame w czasie z jego wydatkami. Jak wspomnieliśmy, rząd ma pewną swobodę obejścia tego prawa przez tworzenie funduszy pozabudżetowych, ulgi podatkowe i narzucanie określonych sposobów postępowania przedsiębiorstw. W USA wiele stanów przyjęło regulacje zobowiązujące do równoważenia budżetu. W praktyce nie powstrzymało to jednak kryzysów finansowych (np. Michigan, New York).

Dlatego też, nie wykluczając starannego opracowania przepisów nakazujących równoważenie budżetu, uważamy, że skuteczniejszym narzędziem dyscyplinującym rządu jest ograniczenie jego dochodów poprzez trzy równoległe posunięcia:

b) Wprowadzenie przepisów pozwalających na uchwalenie wszelkich nowych podatków i zwiększenie obciążeń finansowych tylko wtedy, gdy przepisy takie uzyskają kwalifikowaną większością 2/3 głosów w Parlamencie. Takie ograniczenie przyniosło pozytywne efekty w Finlandii i przyczyniło się do rozwoju gospodarczego, który wyprowadził ten kraj na jedną z czołowych pozycji w świecie pod względem dochodu narodowego na jednego mieszkańca.

Tego typu prawo uniemożliwi wprowadzenie obciążeń podatkowych w wyniku doraźnych rozgrywek politycznych przez rozmaite „koalicje redystrybucyjne" w Parlamencie, np. w trójkącie robotnicy — rolnicy — sfera budżetowa.

c) Wprowadzenie całkowitego zakazu finansowania przez Narodowy Bank Polski deficytu państwa. Nowe pieniądze powinny wspierać gospodarkę, a Bank Centralny powinien nabywać papiery wartościowe wydawane przez podmioty gospodarcze (najlepiej prywatne bądź prywatyzowane), tak jak to dzieje się np. w Szwajcarii. Również Bank Anglii zrezygnował z zakupu papierów wartościowych emitowanych przez rząd.

Nowe kredyty i nowy pieniądz powinien wspierać rozwój gospodarki, w tym również np. program uwłaszczenia pracowników.

d) Rząd pozbawiony łatwej możliwości kredytu bankowego i zwiększania podatków, musiałby swoje nowe wydatki finansować pożyczką, realizowaną przez wypuszczenie obligacji. Aby nie dopuścić do nadmiernego długu publicznego, należałoby wprowadzić również prawne ograniczenie wielkości emisji pożyczki państwowej w proporcji do wielkości budżetu (lub: Produktu Krajowego Brutto).

Równolegle z wprowadzeniem tych ograniczeń, należy przeprowadzić zmiany polegające na przywróceniu innym elementom sfery finansowej postaci przyjętej w cywilizowanym świecie. Zmiany te ogólnie mieszczą się w kierunkach programu rządowego, co oczywiście nie gwarantuje, że zostaną zrealizowane. Wymieńmy je pokrótce:

— ujednolicenie systemu podatkowego, likwidacja zróżnicowanych stawek, ulg i zwolnień,

— decentralizacja budżetu (raz jeszcze przykład Szwajcarii!),

— dbałość o to, aby zmniejszyć nie tylko wielkość podatków, ale również wysokość tzw. stawek krańcowych (czyli unikać sytuacji, kiedy zwiększenie produkcji powoduje, że fiskus zabiera natychmiast dziewięćdziesiąt ze stu dodatkowo zarobionych złotówek),

— znaczne zwiększenie udziału w całości podatków, podatków bezpośrednich.

Ten ostatni postulat wymaga jednak pewnego rozwinięcia. Podatki bezpośrednie mają tę kolosalną zaletę, że czynią dla ludzi czytelnym koszt utrzymywania machiny państwowej, ponieważ obciążenie pobierane jest bezpośrednio z ich dochodów osobistych. Jednak są one trudne w ściąganiu. Ponadto jednolity podatek obrotowy, ma tę zaletę, że jest de facto podatkiem od konsumpcji i jako taki sprzyja oszczędnościom, akumulacji kapitału, a w związku z tym wspiera szybszy rozwój gospodarczy.

---

1. Barierę w inflacyjnym finansowaniu wydatków państwa przewidział i opisał rok temu Andrzej Topiński („Życie Gospodarcze" 1988 nr 21).

2. Dane dla krajów zachodnich: „Finanse" 1989 nr 2/3 s. 57; dane dla Polski obejmują wpływy budżetowe, dochody jednostek parabudżetowych (bez dotacji z budżetu), składki na ubezpieczenia ustawowe (obliczone na podstawie: „Rocznik Statystyczny" 1988).

3. Najlepiej gdyby ta i następne propozycje zostały wprowadzone do konstytucji, przy założeniu, że wszystkie inne ustawy będą musiały być zgodne z ustawą zasadniczą.

ANTIDOTUM PRZYJEMNE W SMAKU

Andrzej Z. Kowalczyk

NIEMAL dokładnie 104 lata temu (24.10.1885 r.)) w stolicy Cesarstwa Austro-Węgierskiego, Wiedniu, tamtejszy beau monde spotkał się na kolejnej premierze w Theater an der Wien. Właśnie tego dnia po raz pierwszy rozbrzmiały nuty jednej z najsłynniejszych operetek w historii — „Barona Cygańskiego" Johanna Straussa-syna. Mimo nie najlepszych opinii, jakie krążyły po mieście na temat tej inscenizacji, zainteresowanie premierą było ogromne; za bilety płacono „konikom" pięciokrotnie więcej, niż wynosiła cena oficjalna, a i tak bardzo trudno było je nabyć. Owacje zabrzmiały już w chwili pojawienia się Straussa za dyrygenckim pulpitem i z każdą chwilą narastały, by w finale osiągnąć niespotykane dotychczas natężenie. Obchodzący następnego dnia 60 urodziny kompozytor nie mógł chyba wymarzyć sobie piękniejszego prezentu.

W 104 lata później ta sama muzyka zabrzmiała w Lublinie — mieście będącym siedzibą Teatru Muzycznego, a przez ostatnie lata kontaktu z operetką pozbawionym.

O lokalowych kłopotach Teatru Muzycznego napisano wiele i nie czas po temu, by do spraw tych wracać. Dość powiedzieć, że bezdomny teatr siedzibę wreszcie znalazł i na inaugurację wystawił właśnie „Barona Cygańskiego".

„Baron Cygański" to w gruncie rzeczy operetka napisana dla czworga postaci: Saffi, Czipry, Sandora Barinkay'a i Kalmana Żupana. Ich partie są pod względem dramaturgicznym najważniejsze, zaś pod względem muzycznym — najtrudniejsze w całym dziele. Ale też stwarzają możliwość pokazania pełni umiejętności. Toteż reżyser Jan Sycz postawił na premierze na „pewniaków": Ksenię Górską-Rosińską (Saffi), Zofię Bronikowską-Krajewską (Czipra), Bolesława Hamaluka (Barinkay) i Mariana Josicza (Kalman Żupan). I publiczność nie doznała zawodu (pod jednym wszakże warunkiem: że nie wybrała się na spektakl następnego dnia).

Oto bowiem podczas drugiego lubelskiego przedstawienia „Barona Cygańskiego" raz jeszcze potwierdziło się stare porzekadło, że lepsze jest wrogiem dobrego.

Rzecz cała w obsadzie, przede wszystkim wspomnianej „wielkiej czwórki", ale także i innych ról, o czym za chwilę. W drugim spektaklu w głównych rolach wystąpili inni artyści. Warunkami głosowymi i przygotowaniem wokalnym nie ustępujący dublowanym kolegom, ale przewyższający ich umiejętnościami czysto aktorskimi. To bardzo istotne. O ile bowiem w operze ważne są tylko umiejętności wokalne, o tyle w operetce głos to jeszcze nie wszystko, tu trzeba być także aktorem.

Nie znaczy to oczywiście, że artyści występujący na premierze są złymi aktorami. Ich gra była poprawna, a w przypadku Mariana Josicza wręcz bardzo dobra. Bez większego ryzyka pomyłki można stwierdzić, iż aktorsko był on postacią numer jeden tego spektaklu. Następnego dnia Kalman Żupan nie zalśnił już takim blaskiem, albowiem na scenie znaleźli się wraz z nim: Eleonora Krzesińska (Saffi), Daniel Saulski (Barinkay) i — zwłaszcza — Irena Chodziakiewicz w roli Czipry.

O grze aktorskiej trudno jest pisać w sposób przekonywający. Ażeby w pełni ocenić aktora, trzeba go zobaczyć i usłyszeć. Na wartość roli bowiem składają się drobiazgi — mimika, gest, sciszenie głosu, pauza... Wszystko to tworzy dopiero kreację. Czwórka wymienionych przeze mnie artystów połączyła w swej grze wszystkie te elementy i stworzyła role, o których się pamięta.

Ale nie tylko ta czwórka. Drugi spektakl „Barona Cygańskiego" dowiódł, iż także z roli zdecydowanie drugoplanowej można zrobić prawdziwą perełkę. Druga para scenicznych kochanków — Arsena i Ottokar — nie ma właściwie zbyt trudnego zadania. Ani wokalnie, ani aktorsko. Rzec można, iż o ich obecności na scenie publiczność przypomina sobie wtedy, gdy śpiewają lub wypowiadają swe kwestie. Poza tymi momentami są, bo są. Ale przecież tak być nie musi. Dowiedli tego Krystyna Szydłowska i Bolesław Hamaluk. Ich było widać. Wykorzystując swą nieprzeciętną vis comica — co oboje potwierdzili także w następnej premierze, „Balu w Savoyu", (zwłaszcza Krystyna Szydłowska, znakomita w trudnej roli Deisy) — stali się równoprawnymi partnerami Saffi, Czipry, Barinkay'a i Żupana. Widać było, iż bawią się swoimi rolami, za co im chwała, bowiem grzeszy ten, kto operetkę traktuje nazbyt poważnie.

Operetka jako dziedzina sztuki nie cieszy się zbyt wielkim uznaniem czy szacunkiem koneserów kultury. Nazywana jest „lekką muzą", „podkasaną muzą"' itp. Jest w sytuacji podobnej, jak literatura kryminalna, czy science fiction, którą wielu czyta, lecz niewielu się do tego głośno przyznaje.

Istotnie, operetka nie niesie żadnych przesłań natury filozoficznej, nie zgłębia tajników psychologii. Są to zabawne, często naiwne historyjki, czasem zawierające jakąś prostą prawdę moralną, ale i to zaczerpniętą raczej z powszechnego poczucia moralności, aniżeli z wielkich systemów etycznych. Ale nie znaczy to, że jest sztuką bezwartościową. Jej wartość leży właśnie w owej prostocie i naiwności. Pozwala bowiem na przeniesienie się — choćby na krótko — do świata fantazji, świata mniej lub bardziej bajkowego. Na oderwanie się od codziennych stresów, kłopotów, niedostatku i szarzyzny. Koi uszy katowane co dnia pseudomuzyką spod znaku disco, heavy metal czy punk. Mówiąc najkrócej, jest antidotum na powszedniość. A że jest to antidotum przyjemne w smaku?... Tym lepiej.

Johann Strauss-syn, „Baron Cygański". Teatr Muzyczny w Lublinie, reż. Jan Sycz, kier. muzyczne Ryszard Komorowski.

Fot. Zbigniew Zugaj

CHEŁMSKIE FORUM LITERACKIE

Adam W. Kulik

W DNIACH 8—10.12.1989 r. uczestniczyłem w Regionalnym Forum Literackim, któremu patronował Chełmski Klub Literacki oraz Miejski Ośrodek Kultury w Chełmie. Ponieważ bezpośrednim sprawcą imprezy nie może być instytucja (choćby miała najpiękniejszy szyld), a żywy człowiek, godzi się wymienić jego nazwisko na samym początku, zwłaszcza że organizacja tego spotkania była znakomita. Pomysłodawcą i bezpośrednim realizatorem przedsięwzięcia był Henryk Radej — poeta, świetny organizator, etatowy pracownik MOK.

Spotkali się piszący, w większości początkujący, ale nie zabrakło i bardziej zaawansowanych wiekiem amatorów poezjowania — z Białej Podlaskiej, Chełma i Zamościa. Lublin wspomógł biesiadę wystąpieniami pisarzy i krytyków literatury.

Jako pierwsi zaprezentowali się członkowie Zamojskiego Klubu Literackiego działającego przy WDK i Nauczycielskiego Klubu Literackiego im. J. Czechowicza w Zamościu. Pokazano cieniutkie, produkowane metodą kserograficzną almanachy i folderki poetyckie (w ogóle impreza stała pod znakiem almanachowo-arkuszowym); podobną produkcję przywieźli autorzy z Białej Podlaskiej, gospodarze natomiast wystąpili z bardzo ładnie wydanym almanachem liczącym ok. 100 stronic („Lustro naszych snów". Wybór i opracowanie H. Radej, Warszawa 1989, 1000 egz.), i z równie porządnie prezentującą się jednodniówką „Kresy Literackie".

Na uwagę zasługuje tomik Teresy Maluchy, autorki należącej do ZKL („Okruchy". Zamość 1988, str. 44, nakładu nie podano), z interesującą, znakomicie korespondującą z tematyką wierszy oprawą plastyczną Jacentego Pietrasia. W najbliższym czasie powinny być złożone materiały na następny tomik. Dobrze więc, że choć po latach i na raty (przed sześciu laty można było wydać 6—8 książek autorów skupionych w już nie istniejącej grupie poetyckiej), upowszechnia się twórczość poetów wywodzących się z Zamojszczyzny. W sytuacji, kiedy zawalił się oficjalny system wydawniczy ma to swoje znaczenie.

Klub Literacki „Maksyma" z Białej Podlaskiej zasługuje na to, abym wymienił przynajmniej dwa nazwiska spośród jego członków prezentujących się podczas Forum; są to Ryszard Chojecki i Sławomir Żyłka — zwycięzca ogłoszonego w ostatnim dniu imprezy turnieju jednego wiersza. Również i ten klub ma ambicję wydawania indywidualnych tomików (dotychczas ukazał się jeden — „Niekontrolowany uścisk dłoni" Elżbiety Kuc).

Wystąpienia „wspomagające" omówię w kolejności prezentowania.

Pierwszego wieczoru niżej podpisany mówił o swoim odkrywaniu kresów, o ich przedmieściu, które stanowią ziemie położone wzdłuż wschodniej granicy państwa, m.in. mówiłem o rozwalających się — na oczach władz administracyjnych, kulturalnych, ale także i kościelnych — zrujnowanych cerkiewkach unickich rozmieszczonych pomiędzy Dołhobyczowem a Hrebennem w województwie zamojskim. (Będzie osobny reportaż).

Dr Józef Fert z KUL przedstawił próbę monografii literackiej Edy Ostrowskiej, poetki mieszkającej w Lublinie, której twórczość przez własne środowisko jest jakby trochę przemilczana, i jakby lekceważona. Myślę, że niesłusznie. Jest to poezja prawdziwa, z rodzaju tych, za które płaci się własnym życiem najdosłowniej. Prawdziwa sztuka zawsze powstaje na pograniczu normy psychicznej i anormalności, Eda z łatwością tę granicę przekracza, nie bacząc na konsekwencje, tj. rozregulowanie obronnych mechanizmów psychiki czy wręcz jej ścieranie się. Wybór jest prosty: albo zostać normalnym, „zasłużonym artystą narodowym" i pisać dla babć i cioć, albo rzucić się w wir, zaprzedać bez gwarancji, że się uda. Nie twierdzę, że to recepta na wielkość, i że każdy tak musi, tutaj chcę tylko wyrazić uznanie dla tego wyboru.

Na spotkanie z Waldemarem Michalskim i Józefem Ziębą, uczestnicy Forum udali się przez słynną, książęcą „górkę" do poklasztornej kaplicy św. Mikołaja, pełniącej dziś funkcję muzeum. Wśród batalistycznych obrazów Stanisława Bodesa słuchaczom została przedstawiona „Mapa literacka Lubelszczyzny", którą sekretarz redakcji „Akcentu" podzielił niejako na cztery „województwa":

I. nurt kulturowy nawiązujący do tradycji (Bohdan Zadura, Ryszard Kornacki, ksiądz Wiercińskі, Henryk Radej).

II. poezję pań (Zofia Luchowska-Kuna, Elżbieta Kuc),

III. nurt poezji wiejskiej (Henryk Kozak, Tadeusz Karabowicz, Krzysztof Kołtun),

IV. nurt wyzwolonej wyobraźni (Eda Ostrowska, Waldemar Żelazny, Waldemar Dras, Łukasz Manzarek).

Zapewne prowadzącemu spotkanie chodziło o ostatnie tomiki poetów mieszkających na Lubelszczyźnie, inaczej nie sposób wytłumaczyć braku nazwisk Marii Józefackiej, Dominika Opolskiego a zwłaszcza Krzysztofa Paczuskiego i Henryka Pająka — autora politycznych, ostrych wierszy powstałych w okresie stanu wojennego.

Józef Zięba poszerzył temat zainicjowany przez p. Michalskiego. Mówił również o twórczości własnej.

Niepodobna nie wspomnieć o czarodzieju nastroju, Ryszardzie Bodio. Jego fortepianowe improwizacje jazzowe stanowiły doskonałe wprowadzenie (lub przerywnik) do niemal wszystkich spotkań, jakie się odbyły podczas imprezy.

W sumie była to biesiada gorąca w klimacie, pożyteczna, przygotowana starannie, zabrakło może rzetelnych zajęć warsztatowych, tak potrzebnych dla startujących dopiero w literaturę adeptów pióra.

„Nazywano ich chrześcijanami"

KRZYŻ NA ARENIE

Marek Karyłowicz

W CZASIE pierwszych prześladowań, nakazanych przez Nerona, zorganizowano obławę na chrześcijan, a poddani torturom więźniowie wskazywali następnych współwyznawców. Przepełnione więzienia nie wystarczyły. Zrodził się obłędny pomysł okrutnego widowiska w ogrodach cesarskich. Zabawiano się tam polowaniami na chrześcijan ubranych w skóry zwierząt, zapalano pochodnie żywych ludzi oblanych smołą i żywicą. Ginęli rozszarpywani przez psy lub przybici do krzyży.

Surowość kar i okrucieństwo ich wykonania wzbudzały nawet wśród wielu widzów litość, „jako że — pisze Tacyt — nie dla pożytku państwa, lecz dla zadośćuczynienia okrucieństwu jednego człowieka byli traceni". Wstrząśnięty Seneka (filozof) pisał z kolei w jednym ze swych listów: „Na mocy decyzji senatu dopuszczono się okrucieństw i to, co zabronione pojedynczemu człowiekowi, zostało nakazane przez państwo. Czyny, za które musielibyśmy sami zapłacić głową, zyskują uznanie, gdy dokonują ich ludzie w oficerskich płaszczach. (...) Człowiek, niegdyś święty dla innego, jest mordowany w zabawie i dla rozrywki..., a śmierć jednego człowieka z ręki drugiego jest dla ludzi chętnie oglądanym widowiskiem".

W późniejszych czasach, jak przekazują Akta Męczenników (Acta Martyrum) zdarzało się niejednokrotnie, że przyglądający się takim widowiskom ludzie doznawali wstrząsu, poruszającego ich zapomniane wydawałoby się poczucie sprawiedliwości, współczucie i wyrzuty sumienia. Nieugięta postawa męczenników skłaniała do głębokiej refleksji. To zapewne miał na myśli Tertullian (II-III w.), gdy pisał: „Nie zniszczysz naszej sekty! Wiedz o tym: umacnia się ją wówczas, gdy się w nią mierzy! Publiczność ogarnia niepokój na widok takiego bohaterstwa i płonie wprost z ciekawości, by poznać przyczyny takiego męstwa. A gdy człowiek pozna prawdę, wtedy należy do nas".

W historii prześladowań chrześcijaństwa spotkać można wszelkie niemal możliwe tortury i sposoby zadawania śmierci. W amfiteatrach stosowano nie tylko opisane już krzyżowanie, ale zawieszano także skazańców na słupach, ścinano toporem lub mieczem, biczowano aż do śmierci lub sadzano ofiary na rozpalonym do czerwoności żelaznym krześle (kracie). Znane są przypadki wrzucania do kotła z gorącą smołą, rozdzierania żelaznymi kołami, przypalania na wolnym ogniu, palenia na stosach lub wbijania na pal. Nie zawsze były to regularne egzekucje, niekiedy bowiem władze pozwalały tłumowi na wyładowanie swych okrutnych emocji. Wyciągani wówczas z domów przez szalejącą tłuszczę chrześcijanie podlegali ukamienowaniu albo spaleniu na stosie, polewanym oliwą. Podczas represji zarządzonych przez cesarza Waleriana (III wiek) grupa chrześcijan, znaleziona w krypcie, została tam żywem zasypana, a w Utyce trzystu wiernych wrzucono do niegaszonego wapna.

Za Dioklecjana („Wielkie Prześladowanie") Rzym i prowincje były widownią kolejnych okrucieństw. „W Arabii — podaje Euzebiusz w swej »Historii Kościelnej« — zabijano toporem. W Kapadocji ucinano nogi. W Mezopotamii wieszano ludzi za nogi głową w dół, po czym rozpalano pod nimi ogień i dym dusił ofiary. Czasami odcinano nosy, uszy i język. W Poncie wbijano kolce pod paznokcie, innym zaś lano roztopiony ołów w najczulsze miejsca ciała".

Mężczyzn, którzy uniknęli śmierci, skazywano na dożywotnie roboty w kopalniach, co odraczało tylko nieuchronny koniec. Skazańcy, skuci łańcuchami, byli piętnowani żelazem lub okaleczani, np. przez wyrwanie oka lub okulawienie. Pędzeni piechotą trafiali do kopalń w Afryce, w Palestynie lub na Cyprze, skąd już nigdy nie wracali. W stosunku do kobiet stosowano od początku inne jeszcze udręki. Tak np. już za Nerona chrześcijanki zmuszone były do uczestniczenia w odtwarzaniu lubieżnych scen mitologicznych; później skazywano je na zamknięcie w domach publicznych.

Wreszcie najbardziej charakterystyczna w prześladowaniach chrześcijan — śmierć na arenie. To cesarz August wymyślił rzucenie lampartom i panterom nagiego bandyty Selurosa, skazanego na śmierć. Odtąd ten rodzaj widowiska przyjął się na stałe, a z czasem stosowano go ze szczególnym upodobaniem właśnie wobec chrześcijan. Wśród zwierząt najczęściej pojawiały się lamparty, lwy, niedźwiedzie i dziki, wypuszczane na bezbronnego (często przywiązanego do słupa), nagiego skazańca. Głodzone wcześniej i drażnione zapachem krwi zwierzęta zabijały ofiarę na miejscu lub rozszarpywały powoli, włócząc wnętrzności po całej arenie. Kobiety stawały się często obiektem wyrafinowanego męczenia, a mianowicie nagie i owinięte w sieć podrzucane były dzikiej krowie na rogi. Żyjące jeszcze mimo męczarni ofiary, dobijali ostatecznie mieczem gladiatorzy.

SKĄD takie upodobanie do okrutnych tortur, kar i widowisk? Przyczyny są zapewne wielorakie i nie sposób je tutaj wszystkie wyszczególnić. Generalnie trzeba jednak powiedzieć, że starożytni — nie tylko Rzymianie — byli przyzwyczajeni do rozlewu i widoku krwi, do brutalności i okrucieństwa. Prawo karne było surowe, kara śmierci była karą zwyczajną, egzekucje — najczęściej publiczne — różniły się tylko sposobem zadania śmierci. Do zwykłych, a zarazem najdawniejszych sposobów wykonania kary śmierci należało ukrzyżowanie, ścięcie toporem (później — mieczem) oraz spalenie żywcem. Od Konstantyna Wielkiego zamieniono, pod wpływem chrześcijaństwa, ukrzyżowanie na powieszenie na szubienicy. Uzupełniały te sposoby m.in. zrzucenie ze skały oraz tzw. kara worka (poena cullei), gdy skazańca — przy dodatkowych udręczeniach — wrzucano ostatecznie w skórzanym worku do wody (morza lub rzeki). Karą śmierci było też opisane już przeznaczenie skazańca na „walkę" ze zwierzętami na arenie podczas igrzysk, co praktycznie oznaczało rzucenie go na pożarcie.

Nie bez znaczenia w tych brutalnych i okrutnych upodobaniach były przyzwyczajenia wynikające z nieograniczonej praktycznie władzy właścicieli nad niewolnikami. „Ta władza jest urządzeniem prawa narodów, bo u wszystkich jednak narodów możemy zauważyć, że właściciele mają względem niewolników władzę życia i śmierci" (Inst. Gaiusa, 1,52; tłum. C. Kunderewicz). Dopiero od Antoniusa Piusa (138—161 r.) pojawiły się przepisy, iż „nie wolno srożyć się nad swymi niewolnikami ponad miarę i bez powodu" (1,53). Samowola panów w traktowaniu i karaniu niewolników to równie obszerny temat, obfitujący w nieludzkie obrazy.

Wreszcie — gladiatorzy i igrzyska, ulubiona i ekscytująca do białej gorączki rozrywka Rzymian wszystkich stanów. O sławnych rzeziach na arenie napisano już wiele i tylko w skrócie można przypomnieć kilka podstawowych informacji. Igrzyska gladiatorskie, urządzane z rozlicznych okazji, trwały zwykle od świtu do zmierzchu, niekiedy do późnej nocy. Różniły się też wielkością; do największych należały niewątpliwie te na otwarcie Kolosseum, kiedy to w jednym dniu zabito pięć tysięcy zwierząt. Za Trajana w ciągu dwu widowisk pokazano walki 10 tysięcy gladiatorów, a w innych — w ciągu trzech dni walczyło 2404 gladiatorów. Zaiste wielkie widowiska, ale i wielkie stosy trupów, znoszonych z areny. Były też specjalne spektakle poranne i południowe. O świcie odbywały się opisane już „polowania" dzikich zwierząt na bezbronnych skazańców wydanych na rozszarpanie. Gladiatorzy w porze południowej rekrutowali się spośród przestępców, skazanych na ten rodzaj śmierci i nikt nie wychodził z cyrku żywy. Były to właściwie egzekucje na arenie.

Ogromną rolę w krwawych igrzyskach i egzekucjach odgrywali sami cesarze. Wyraźnie podnosi tę okoliczność Tacyt pisząc, że za Nerona chrześcijanie ginęli przede wszystkim dla zadośćuczynienia okrucieństwu pojedynczego człowieka (tj. cesarza). Jego pomysł z żywymi pochodniami jest już znany. Nie dziwi więc opinia Swetoniusza („Żywoty Cezarów"), iż Neron „bez żadnego wyboru ani wiary skazywał na śmierć, kogokolwiek zechciał i z jakiejkolwiek przyczyny" (tłum. J. Niemirska-Pliszczyńska, także niżej).

Nie był Neron jednak w swych krwiożerczych upodobaniach i samowoli odosobniony. Już przedtem Tyberiuszowi — nadal według Swetoniusza — „żaden dzień nie minął bez zgładzenia człowieka, nawet religią zastrzeżony lub święty. Wymierzano karę śmierci nawet w dniu Nowego Roku. Oskarżano i skazywano wielu wraz z dziećmi. (...) Wszystkich bez wyjątku skazańców zrzucano ze schodów Gemońskich i wleczono na haku. Jednego dnia zrzucono tak i zawleczono dwadzieścia ofiar, wśród nich kobiety i dzieci. Co do młodziutkich dziewcząt, to ponieważ nie godziło się wedle ustalonego obyczaju wieszać dziewic, najpierw kat je gwałcił, a potem wieszał".

Okrucieństwa i szaleństwa Kaliguli są powszechnie znane, ale warto przytoczyć jeden znamienny przykład: „Oto gdy zbyt drogo kosztowało mięso bydlęce dla karmienia dzikich zwierząt, przeznaczonych na igrzyska, wydał na rozszarpanie więźniów (...). Wielu znakomitego stanu obywateli najpierw oszpecił piętnem, później zesłał do kopalni kruszców, do naprawy dróg lub na pożarcie dzikim zwierzętom albo osadzał w klatce, zmuszając do pozycji czworonogich zwierząt albo rozcinał ich piłą na połowę".

Te przykłady wystarczą. Ilu zginęło w ten sposób chrześcijan, umęczonych za nową wiarę? Liczby męczenników nie sposób ustalić. Znanych jest wiele nazwisk, ale większość ginęła jako bezimienna rzesza, choć nie byli oni pozbawieni imienia. Nazywano ich przecież chrześcijanami. To dla nich postawiono pośrodku Kolosseum prosty krzyż — milczący symbol na męczeńskiej arenie.

(Koniec)

H. Sienkiewicz. QUO VADIS?

Fot. Waldemar Stępień

„CICHOCIEMNI" NA LUBELSZCZYŹNIE

Wojciech Kozłowski – „Tomek"

NOCĄ 16/17.09.1943 wylądował na placówce odbiorczej „Garnek" w pow. pułtuskim, razem z dwoma towarzyszami, ppor. piechoty rez. **HIERONIM KAZIMIERZ DEKUTOWSKI** ps. „Zapora", „Odra", jeden z najznakomitszych dowódców partyzanckich Okręgu Lubelskiego.

Urodzony w 1919 r. w Tarnobrzegu, w latach szkolnych był cenionym i wybijającym się działaczem Związku Harcerstwa Polskiego. W roku 1939 nie był zmobilizowany, walczył jako ochotnik w oddziałach piechoty z grupy generała (wówczas jeszcze płk. dypl.) Bronisława Ducha. Przeszedł na Węgry, gdzie krótko był internowany. Krótko — bo „zwiał". „Zielonymi granicami" dotarł do Francji, gdzie został zmobilizowany i wcielony do 4 pułku piechoty w 2 Dywizji Strzelców Pieszych. Po klęsce Francji przedostał się do Anglii, otrzymał przydział do 1 Brygady Strzelców, ukończył Szkołę Podchorążych i kurs spadochronowy oraz gruntowne przeszkolenie dywersyjne.

Po „aklimatyzacji" w Warszawie, otrzymał przydział na stanowisko dowódcy 4 komp. II baonu 9. pułku piechoty Legionów w Inspektoracie Rejonowym Zamość. Powierzonym sobie oddziałem dowodził z dużą brawurą, łącząc skuteczność działań bojowych z niezwykłą troską o żołnierzy, których przy tym szkolił w sposób nader intensywny, mimo bardzo ciężkich warunków zimowych.

Szczególnej sławy przysporzyła mu akcja na zasiedloną przez kolonistów niemieckich wieś Żrebce, silnie obsadzoną przez formację Selbstschutzu, którą wybił „do nogi", tracąc 1 poległego (strz. Waśko).

Miał w swojej kompanii drużynę, złożoną z Rosjan zbiegłych z niemieckich obozów, którzy „komandira" dosłownie wielbili. Ta umiejętność przywiązania do siebie serc żołnierskich była u „Zapory" czymś zupełnie szczególnym, nieomal niepowtarzalnym. Potwierdzają to bez wyjątku wszyscy, którym przyszło się z nim zetknąć kiedykolwiek.

W lutym 1944 roku Komenda Okręgu Lubelskiego AK, a ściślej mjr „Lucjan", szef „Kedywu" Okręgu, przeniósł „Zaporę" na stanowisko szefa „Kedywu" Inspektoratu Rejonowego Lublin-Puławy, którym po aresztowaniu „Siapka", władał tymczasowo por. „Agawa".

W tym czasie i w tych warunkach stanowisko szefa „Kedywu" Inspektoratu w sposób naturalny łączyło się z funkcją dowódcy oddziału dyspozycyjnego. Ten — nominalnie pluton — szybko rozrósł się do stanu liczebnego „dobrze okrytej" kompanii. Do akcji „Burza" stanęła ona jako 1 kompania 8. pułku piechoty Legionów w sile trzech pełnych plutonów, solidnie uzbrojonych nie tylko w broń osobistą, ale i maszynową oraz przeciwpancerną. Akcji bojowych i dywersyjnych było dużo — straty zaś własne wręcz znikome.

Po wkroczeniu na Lubelszczyznę wojsk sowieckich, „Zapora" — w kontakcie taktycznym z oddziałami I rzutu Armii Czerwonej — przemieszczał oddział ku Wiśle, stopniowo redukując jego stan o tych, którzy mieli możliwości powrotu do domów rodzinnych lub bezpiecznego „zamelinowania się" w terenie.

Z pozostałymi próbował w sierpniu (po wybuchu Powstania Warszawskiego) przejść na lewy brzeg Wisły, w nadziei dołączenia do Zgrupowania „Jodła" (Okr. Radomsko-Kielecki), które dążyło na pomoc walczącej stolicy. Ta operacja nie powiodła się, a rozpoczęta przez wojska sowieckie, NKWD i podporządkowane im formacje „berlingowskie", UB i MO represje w stosunku do żołnierzy Armii Krajowej zmusiły „Zaporę" — w trosce o ludzi — do pozostania w zbrojnym podziemiu.

Po rozwiązaniu (19.01.45) rozkazem gen. Okulickiego Armii Krajowej, oddział swój podporządkował „Zapora" organizacji „Nie" pod komendą gen. E. Fieldorffa, a po jego aresztowaniu — Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość" (WiN), w którym niebawem objął stanowisko komendanta Zgrupowania Oddziałów Okręgów: Lubelskiego, Rzeszowskiego i Radomsko-Kieleckiego.

„Zgrupowanie" — to brzmi groźnie. Było to faktycznie około 300—400 desperatów, zagrożonych więzieniem, deportacją lub — po prostu — kulą w kark. Podzieleni na niewielkie grupy w sile sekcji — drużyny, wyjątkowo plutonu, prowadzili działania sprowadzające się do samoobrony i ochrony wsi przed akcjami pacyfikacyjnymi, do których w tym czasie używano około 2 brygad KBW, 4 pułków piechoty, nie licząc oddziałów sowieckich, sił UB i MO, wielokrotnie przekraczających liczebnie siły „podziemia".

Proponowane „Zaporze" przez władze bezpieczeństwa „ujawnienie się" warunkował on uwolnieniem z więzień tysięcy aresztowanych żołnierzy Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich. Jeśli dziś jeszcze, po czterdziestu z górą latach, podnoszą się głosy „weteranów okresu błędów i wypaczeń", określające „WiN" jako bandytów — to dziwnymi wydają się władze bezpieczeństwa, które z „hersztem bandytów"... pertraktowały!

Dziś można powiedzieć jasno: była to wojna domowa. Jak każda tego rodzaju wojna — szczególnie okrutna i krwawa, nie przebierająca w środkach, podlegająca naturalnej eskalacji. Historia poucza o tym dokładnie — przynajmniej tych, którzy ją znają nie tylko z politycznych broszur. Jest natomiast faktem historycznie bezspornym, że bezpardonowa walka zbrojnego podziemia w latach 1945—47 uchroniła Polskę od kolektywizacji wsi i że dziś, w roku 1990, mamy jeszcze szansę na odbudowę zrujnowanej gospodarki rolnej.

„Zapora" we wrześniu 1947 r. podjął próbę przedostania się z siedmioma towarzyszami na Zachód. Ujęty przez UB w Nysie, 16 września 1947 (dokładnie w czwartą rocznicę skoku do kraju), po półtorarocznym, brutalnym śledztwie w katowni na Rakowieckiej, został stracony wieczorem 7 marca 1949 r., w więziennej piwnicy — z sześcioma towarzyszami — strzałem w kark. Wszyscy pogrzebani zostali w papierowych workach, w dole zasypanym wapnem, prawdopodobnie na peryferiach cmentarza powązkowskiego.

„Zapora" — Hieronim Kazimierz Dekutowski, pośmiertnie awansowany do stopnia majora CC, był kawalerem Krzyża Srebrnego Orderu Wojennego „Virtuti Militari". Pamięć jego i poległych razem z nim sześciu towarzyszy uczczono w 40. rocznicę ich śmierci tablicą pamiątkową w kościele OO. Dominikanów w Tarnobrzegu. Na wieczną pamięć dla następnych pokoleń.

W NOCY z 18 na 19 października 1943 w operacji „Oxygen-8" wylądowała w okolicy Łowicza ekipa nr XXXIII. Zrzut przyjęła placówka „Obrus". Wśród „Cichociemnych" znajdujemy kolejnego oficera Okręgu Lubelskiego. Był nim ppor. rez. piech. **WŁODZIMIERZ KLOCEK**, ps. „Garłuch".

We wrześniu 1939 nie zmobilizowany, przedostał się do Rumunii, a stamtąd do Francji, gdzie ukończył szkołę podoficerską. W Anglii przydzielony do 1 Brygady Strzelców i przeszkolony w dywersji oraz zagadnieniach propagandy (wyjątkowo uzdolniony plastycznie).

Zimą z 1943 na 44 przydzielony do „Kedywu" Okręgu Lubelskiego pełnił funkcję instruktora dywersji i zastępcy OP IV/8 (późniejszej IV kompanii 8. pp.Leg.), ppor. Bolesława Mucharskiego, ps. „Lekarz", „Kłak" (zamordowany na Zamku w Lublinie 12.04.1945).

„Garłuch" został aresztowany przez gestapo, pod Radzyniem, w maju 1944, potem przewieziony do więzienia w Lublinie i po ciężkim śledztwie, umieszczony na Zamku. Stąd w początkach lipca 1944 podjął skutecznie brawurową ucieczkę, jedną z nielicznych z tej mocno strzeżonej katowni.

Odznaczony Krzyżem Srebrnym „Virtuti Militari". Mieszka w Kraju — jest cenionym artystą rzeźbiarzem. Pozostał dotąd pod swym przybranym nazwiskiem „Niewęgłowski".

Zimę 1943/44 cechowała wyjątkowo niesprzyjająca operacjom zrzutowym pogoda, utrudniająca i tak niełatwą łączność między nadlatującymi samolotami a placówkami odbiorczymi. Powstałe w ten sposób zaległości zaczęto intensywnie nadrabiać w kwietniu i maju 1944 r. W ciągu tylko tych dwóch miesięcy wystartowało do Kraju łącznie około 240 samolotów polskich i brytyjskich, które wykonały 139 udanych operacji zrzutowych.

W NOCY z 3 na 4 kwietnia 1944 w ekipie XXXIV wylądował z trzema towarzyszami na placówce „Pierzyna" w okolicach Mińska Mazowieckiego ppor. lotn. **JAN ADAM BIEŻUŃSKI**.

Ten zawodowy oficer lotnictwa walczył w 1939 r. w 1 pułku lotn., potem internowany w Rumunii. Przedostał się do Francji, a stamtąd do Anglii, gdzie służył w 300 dywizjonie bombowym. W nocy z 14 na 15 września 1940 uczestniczył w pierwszym, wykonanym z Wysp Brytyjskich, nalocie polskiego lotnictwa na Niemcy. Przeszkolony do zadań lotnictwa w konspiracji, do dywersji i radiotelegrafii, otrzymał przydział do Wydziału Lotnictwa Oddziału III Komendy Głównej AK.

Przypadkowo aresztowany w Warszawie, osadzony został na Pawiaku, z którego jednak wydostał się. Jako „spalony", skierowany został do Okręgu Lubelskiego, skąd następnie przerzucony do Lwowa. Używał pseudonimu „Orzyc".

Odznaczony Krzyżem „Virtuti Militari" V kl. i 4-krotnie Krzyżem Walecznych. Zmarł w Kraju w 1968 roku.

W EKIPIE XXXVIII nocą z 9 na 10 kwietnia 1944 skoczył (operacja „Weller 1") st. sierż. lotn. **ALBIN ŁAKOMY**, ps. „Tworzyk".

Zawodowy podoficer 2. pułku lotn., walczył w 1939 roku. Internowany w Rumunii. We Francji latał w kluczu myśliwskim kpt. T. Opulskiego, w Anglii w 308 dywizjonie myśliwskim i 300 dyonie bombowym. Przeszkolony był w zakresie dywersji i radiotelegrafii, a także do zadań lotnictwa w konspiracji, a więc nader wielostronnie.

Przydzielony do Okręgu Lubelskiego AK, odkomenderowany został do Oddz. V jako oficer techniczny w lotnym oddziale radiołączności „Pająk".

Odznaczony Krzyżem Srebrnym „Virtuti Militari".

MAJOR lotn. **JERZY ERAZM MICHAŁ ISZKOWSKI** skoczył w nocy z 27 na 28 kwietnia 1944 na placówkę „Koza" koło Lublina. Otrzymał przydział na stanowisko zastępcy kierownika referatu lotniczego. W czasie akcji „Burza" odcięty od Lublina, dołączył do 33 pułku piechoty AK i — jako oficer sztabu — brał udział w walkach z Niemcami. Ranny w boju o Tłuszcz. W sierpniu 1944 powrócił do Lublina i objął stanowisko kierownika referatu lotniczego, a od listopada do końca grudnia 1944 zajmował miejsce płk. Franciszka Żaka (ps. „Wir") jako p.o. komendanta Okręgu pod pseudonimem „Orczyk", „Kord".

Odznaczony Krzyżem „Virtuti Militari" V kl. i 4-krotnie Krzyżem Walecznych. Zmarł w 1962 r. w Nowym Sączu.

NOC z 4 na 5 maja 1944 przyniosła Okręgowi Lubelskiemu czterech ostatnich „Cichociemnych". Ppor. rez. piech. **ZDZISŁAW RUDOLF LUSZOWICZ** ps. „Szakal", w 1939 walczył w 20 pułku piechoty; po jego rozbiciu wziął udział w obronie Lublina (17—18.09.1939 r.). Wycofując się na wschód, wpadł w ręce sowieckie i został internowany w ZSRR. W sierpniu 1941 zameldował się u gen. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego w 6 Dywizji Piechoty „Lwów", gdzie otrzymał przydział do 18 pułku piechoty, później przeniesiony do 6 pułku artylerii lekkiej. Szkolenie spadochronowe i dywersyjne odbył w Italii.

Po wylądowaniu na placówce odbioru „Mewa 1" w pow. pińczowskim, otrzymał przydział do 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, do której jednak, wobec „spalenia kontaktów", nie dotarł. W lipcu 1944 wziął udział w walkach o Lublin, gdzie wkrótce po wkroczeniu Armii Czerwonej został aresztowany i wywieziony do ZSRR (ponownie!). Wrócił do Kraju w 1945/46 (?), po czym — przez „zieloną granicę" — wyemigrował do Anglii.

Odznaczony Krzyżem Walecznych 4-krotnie.

PPOR. rez. kawalerii **ANDRZEJ BOLESŁAW PRUS-BOGUSŁAWSKI**, ps. „Pancerz", walczył w 1939 r. w 102 pułku ułanów; po 17 września 1939 internowany na Litwie, skąd uciekł przez Szwecję, Norwegię i Finlandię do Anglii, gdzie uzyskał przydział do 10 Brygady Kawalerii Pancernej (24 pułk ułanów).

Przeszkolony w broni pancernej i dywersji, lądował na placówce odbiorczej „Szczur" między Bychawą a Janowem Lubelskim. Objął obowiązki instruktora broni pancernej w Oddz. III Sztabu Okręgu.

Awansowany do stopnia porucznika i odznaczony Krzyżem „Virtuti Militri" V kl.

KPT. saper rez. **JAN WOJCIECH WALTER**, ps. „Cyrkiel", był w 1939 r. instruktorem dywersji pozafrontowej w Oddziale II Sztabu Głównego. Internowany w Rumunii. W roku 1940 walczył w Samodzielnej Brygadzie Strzelców Podhalańskich w Norwegii, potem służył w 1 Brygadzie Strzelców w Anglii. Przeszkolony dodatkowo w wywiadzie.

W Okręgu Lubelskim pełnił funkcję szefa służb saperskich Oddz. III Sztabu Okręgu. Aresztowany w Lublinie w styczniu 1945, był do 1947 roku więziony w ZSRR w łagrze Borowicze (Jogła), później w Świerdłowsku pod nazwiskiem „Bożykowski".

Kawaler „Virtuti Militari" V kl. Zmarł w Warszawie w 1976 r.

POR. artylerii **MIECZYSŁAW SZCZEPAŃSKI**, ps. „Dębina", zawodowy artylerzysta, walczył w 1939 r. w 24 pułku artylerii lekkiej. Internowany na Węgrzech. We Francji w 3 pal. w 3 Dyw. Piechoty. W Anglii — w 1 Brygadzie Strzelców. Szkolony w dywersji.

Po skoku przydzielony do VII baonu 77 pułku piechoty AK w Okręgu Nowogródzkim. 20 czerwca 1944 ranny pod Szczuczynem — uniknął szczęśliwie losu, jaki był udziałem większości żołnierzy Wileńsko-Nowogródzkiego Zgrupowania Armii Krajowej.

Po wyleczeniu ran w końcu września, bądź na początku października 1944 przedostał się do Lublina i w grudniu wyznaczony został na stanowisko inspektora obwodu Lublin-miasto. Funkcji tej nie zdążył objąć. Aresztowany został przez organa resortu Bezpieczeństwa 9 stycznia 1945 r. i stanął przed Sądem WP, który skazał go na karę śmierci za... uchylanie się od służby wojskowej i rzekomo planowany współudział w zamachu na Bieruta, który to zamach nigdy zresztą nie doszedł do skutku (!).

Wyrok na kapitanie „Dębinie", kawalerze Krzyża Srebrnego Orderu wojennego „Virtuti Militari", wykonano na Zamku w Lublinie 12 kwietnia 1945.

Grób jego nie jest znany. Jak tylu, tylu innych...

(Koniec)

DZIECIOM POLSKIM W ZSRR...

Józef Adamski

PRZEZ długie lata powojenne sprawa szkolnictwa polskiego w ZSRR była, zarówno w instytucjach PRL, jak i naszych środkach masowego przekazu, zbywana całkowitym milczeniem. Oficjalnie nie tylko nie udzielano tak bardzo oczekiwanej pomocy, lecz także nie okazywno jakiegokolwiek zainteresowania, skazując niejako naszych rodaków w ZSRR na zapomnienie. Taki stan rzeczy sprzyjał likwidacji polskiej oświaty w szeregu republik radzieckich, zaś tam, gdzie szkolnictwo polskie pozostało — głównie na Wileńszczyźnie — doprowadzono do jego skarłowacenia i nikłego udziału w ogólnorepublikańskiej oświacie.

Na Wileńszczyźnie uratowały się jedynie 92 tzw. szkoły polskie, w których uczy się języka polskiego zaledwie 10,5 tys. dzieci i młodzieży z podręczników drukowanych w ZSRR, tendencyjnie nastawionych do kultury i historii Polski. Pozostałe przedmioty nauczane są przeważnie w języku litewskim bądź rosyjskim. Los absolwentów takich szkół jest co najmniej trudny, zaś perspektywy awansu społecznego — bardzo ograniczone.

Powstałe w ostatnim okresie ożywienie w dziedzinie kultury i języka polskiego na terenie zachodnich republik Związku Radzieckiego doprowadziło do powołania szeregu polskich organizacji społecznych, które szczególną troską otoczyły reanimację oświaty polskiej.

Utworzono 40 przedszkoli i żłobków polskich na Wileńszczyźnie. Wprowadzono do ponad 140 punktów na Białorusi nauczanie języka polskiego (przeważnie w systemie fakultatywnym), które sprowadza się do dobrowolnego obciążenia się dziecka w zakresie uczenia się jeszcze jednego języka — niestety już zapomnianego od co najmniej dwóch pokoleń. Utworzono kilkadziesiąt punktów nauczania języka polskiego w innych republikach. Postuluje się powołanie wyższej polskiej uczelni w Wilnie dla kształcenia przyszłej polskiej inteligencji itd.

Wszystkie niemal problemy polskiej oświaty w ZSRR oczekują na rozwiązania oparte na przygotowywanych porozumieniach pomiędzy poszczególnymi republikańskimi ministrami oświaty a polskim ministrem edukacji narodowej. Dla Polaków jest to chyba najważniejszy problem, jeśli idzie o ratowanie resztek tożsamości narodowej, kulturowej i religijnej.

POLACY w ZSRR nie byli jednak wymazani z naszej pamięci narodowej — powstały organizacje, działały grupy i osoby, które w sposób nieformalny czyniły duże wysiłki dla utrzymania więzi, udzielania pomocy i podtrzymywania na duchu skazanych na zapomnienie. Współczesny poeta wileński, Zbigniew Maciejewski, w roku 1982 wołał:

Odtąd każdy swoim żył życiem,
swoim szczęściem i swoim
zmartwieniem
tylko nici, tajemne nici
nas łączyły jedności pragnieniem.

W Lublinie pierwsza zorganizowana grupa pomocy szkołom polskim w ZSRR powstała w roku 1979. Opłaciła ona prenumeratę kilku tytułów naszych czasopism dla siedmiu szkół polskich na Wileńszczyźnie. Organizatorem i animatorem takiej pomocy w skali ogólnokrajowej był śp. inżynier Tadeusz Goniewicz, zmarły w roku 1988. W następnych latach obejmowaliśmy tą pomocą inne szkoły, zespoły, domy kultury i osoby prywatne, które w jakikolwiek sposób animowały kulturę i oświatę polską w ZSRR.

Podstawowy wysiłek był skierowany na zapewnienie szkołom i domom kultury zestawu polskich czasopism, jak „Poznaj swój kraj" „Przyroda Polska", „Poznaj Świat", „Kobieta i Życie", „Świat Młodych", „Mówią Wieki", „Płomyk", „Płomyczek", „Świerszczyk", „Miś", „Wychowanie w Przedszkolu", „Wiselka" i inne. (Zestaw na rok 1990 obejmuje 16 tytułów czasopism).

Z biegiem czasu pomoc ta została rozszerzona na dostarczanie nauczycielom i szkołom specjalistycznego wyposażenia, jak podręczniki i lektury, nagrania, przewodnika, portrety bohaterów narodowych, mapy, atlasy, kalendarze, abecadło, schematy poglądowe, tablice itp.

T. Goniewicz stworzył w Polsce kilkadziesiąt grup prowadzących taką działalność.

TYMCZASM wołania o pomoc rosły z każdym dniem gwałtownie. Instytucje państwowe, które winny taką pomoc świadczyć, nie zawsze mogły lub po prostu nie potrafiły dotrzeć do tych, którzy na nią oczekują. Nasza praca polega wyłącznie na kontaktach oddolnych. W ten sposób doszło do powołania specjalnej Fundacji, którą grupy lubelskie ustanowiły 10 lutego 1989 r., a która została zatwierdzona przez ministra edukacji narodowej 29 kwietnia i zarejestrowana 9 czerwca 1989 r. w Sądzie Rejonowym dla Warszawy.

Czwarty miesiąc płyną liczne ofiary społeczeństwa polskiego na konta Fundacji, lecz w stosunku do wielkich zamierzeń, już realizowanych, są one niewspółmiernie niskie. Wielkość ofiar, głównie osób prywatnych, wyniosła w roku 1989 ponad 10 mln zł, podczas gdy sama tylko wartość papieru, który musimy wykupić na druk elementarza w grudniu 1989 r. wynosi 52 mln zł. Elementarz, specjalnie zredagowany przez dr Helenę Meterową oraz ilustrowany przez Blankę Olszewską (obie panie z Lublina), powstaje w trybie szybkim — dla dzieci polskich w ZSRR, które oczekują na niego. Elementarz uzyskał aprobatę zarówno w Ministerstwie Edukacji Narodowej, jak i u odbiorców.

A tymczasem powstają już nowe przedsięwzięcia — śpiewnik z nutami, podręcznik 2-tomowy dla dorosłych, szkolenie instruktorskie, opieka nad Polakami z ZSRR studiującymi w Polsce, rozszerzenie specjalistycznej pomocy dla szkół z klasami polskimi, szczególnie na Białorusi itd.

Potrzeby Fundacji, która opiera swą działalność na społecznym udziale i społecznej pracy organizacyjnej, są coraz większe, co wymaga zasadniczego wsparcia, szczególnie poprzez zakłady pracy. Ułatwieniem dla zakładów pracy jest wprowadzona od 31 I 1989 r. ustawa o podatku dochodowym na wzór krajów zachodnich, umożliwiająca z korzyścią dla wpłacającego dokonywanie wpłat wspierających tego rodzaju fundacje (Dz.U. nr 3, poz. 12 i 13 z 1989 r.).

Warto wreszcie wymienić choć kilka osób z Lublina, najbardziej poświęcających swój czas, środki i trud dla rodaków na Kresach Wschodnich. Są to: dr Helena Gulanowska, Teresa Mikoszewska, Jadwiga Bagińska, inż. Bożena Flisiak, prof. Czesław Zgorzelski, inż. Zenon Kępa, Józef Gierczak, ks. doc. Roman Dzwonkowski, dr Barbara Jedynak, Jan Onoszko, Antoni Przybysz i wielu innych. Dochodzą do tego harcerze RP, studenci i wreszcie nowo powstałe towarzystwa „kresowe", wśród których na pierwsze miejsce wybija się lubelski oddział Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna.

Równocześnie w Kraju i na Obczyźnie powstają coraz liczniejsze nowe grupy, pragnące świadczyć pomoc polskiemu szkolnictwu w ZSRR w ramach działalności Fundacji — głównie na zasadzie filii. Inni zaś pragną samodzielnie współpracować z klasami i szkołami polskimi.

ZNACZNE ożywienie w tej dziedzinie wniosły ostatnie spotkania trójstronne w Polsce i w ZSRR pomiędzy politykami polskimi ze Związku Radzieckiego, przedstawicielami rządu polskiego oraz przedstawicielami czynnika społecznego. Tworzy się nowa forma pomocy szkolnictwu polskiemu w ZSRR — przy utrzymaniu i rozwijaniu dotychczasowych społecznych przedsięwzięć.

Na tle tych przedsięwzięć pracę Fundacji znalazły ocenę bardzo wysoką wraz ze wsparciem czynników oficjalnych. Dla potwierdzenia powszechnego uznania społecznego Fundacji warto zacytować fragment pisma Sekretariatu Stanu z Watykanu: „Ojciec Święty poleca Bogu w modlitwie Zarząd Fundacji i z serca udziela swego Błogosławieństwa Apostolskiego na jej działalność, obejmując nim wszystkie osoby, które modlitwą, pracą i ofiarą przyczynią się do rozwoju dzieła. Rzym, 7 września 1989 r."

WŚRÓD niezliczonej, często jakże dramatycznej, korespondencji znalazł się w Fundacji przed kilkoma tygodniami list z Białorusi, w którym tamtejsi Polacy piszą: „Apelujemy do Społeczeństwa Polskiego, do Inteligencji, do Władzy, do Duchowieństwa, do Episkopatu Polski o pomoc, o solidarność w naszej potrzebie [...]. Oczekujemy od Was pomocy, a w szczególności nauczycieli języka polskiego. Najbardziej czekamy na księży misjonarzy". Pod listem znalazło się 40 podpisów i dodano uwagę, że mogą zebrać ich tysiące.

Jakże wobec takich faktów można dalej milczeć? I czy musimy być bezradni?

FUNDACJA

na Rzecz Pomocy Szkołom Polskim i Placówkom Kulturalno-Oświatowym na Terytorium ZSRR im. T. Goniewicza

Adres: **ul. Kazimierza Wielkiego 9/60**
20-611 Lublin, tel. 55-29-24

Konta Bankowe:
a) złotówkowe – **BPH Kraków, II O/Lublin nr 324207-433-132-3**
b) dewizowe (dolarowe US) – **NBP Oddział Okręgowy Lublin, ul. Chopina 6 43010-47005-151-6787**

WSPÓŁBRACIA Z KRESÓW OCZEKUJĄ TWOJEJ POMOCY!

Fundacja wspiera polskie szkolnictwo i kulturę w ZSRR poprzez:
- prenumeratę czasopism
- druk podręczników
- wysyłkę książek
- dostarczanie szkołom środków audiowizualnych
- zaopatrzenie szkół we wszelkie inne pomoce
- stypendia
- kursy, spotkania, specjalistyczne poradnictwo
- organizowanie imprez itd.

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy: 11—14.01 godz. 11, 18; 16—17 godz. 11, 18; „Betlejem polskie" Lucjana Rydla; reż. Andrzej Rozhin.
Teatr Lalki i Aktora: 11—12.01 godz. 10, 12; 13—14.01 godz. 12; 16—17.01 godz. 10, 12; „Słowik" baśń H. Ch. Andersena; reż. Tomasz Jaworski
Teatr Muzyczny: 11.01 godz. 19: „Baron cygański" J. Straussa, 13—14.01 godz. 15, 16—17.01 godz. 10; „Czarodziejski pierścień" L. Kaszyckiego; reż. Zbigniew Czeski.

MUZYKA

W LUBLINIE
Filharmonia — 13.01 godz. 18, 14.01 godz. 18, — koncert pt. „Muzyka baletowa i operetkowa". Wystąpią: Orkiestra Państwowej Filharmonii Lubelskiej pod dyrekcją Ryszarda Komorowskiego oraz Grażyna Brodzińska (sopran), Bogusław Morka (tenor). Damian Damięcki (prowadzenie). W programie: „Jezioro łabędzie" P. Czajkowskiego, fragmenty „Giselle" A. Ch. Adama oraz utwory Lehara, Kalmana, J. Straussa, Offenbacha.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa linorytu Stanisława Baldygi (czynna do 15.01).
Zamek Lubelski — wystawa pt. „Hej kolęda, kolęda..." (zimowe zwyczaje ludowe).
Galeria Labirynt 8 (ul. Grodzka 8) — wystawa Joanny Przybyły (rysunki i instalacje).
Galeria Grodzka (ul. Grodzka 8a) — 12.01 godz. 18 — otwarcie wystawy Zdzisława Kwiatkowskiego pt. „Instalacje i Performance".
Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa grafiki Zbigniewa Jóźwika.
Dworek Wincentego Pola — wystawa pt. „Wincenty Pol i Ludwik Zejszner — pierwsi profesorowie nauk o Ziemi Uniwersytetu Jagiellońskiego".
Filharmonia (foyer) — wystawa rysunku Henryka Długosza.

W PUŁAWACH

Dom Chemika — 12.01 godz. 17 — otwarcie wystawy Polskiego Stowarzyszenia Edukacji Plastycznej Oddziału Lubelskiego.

W CHEŁMIE

Muzeum Okręgowe (ul. Lubelska 55) — wystawa rzeźby Adama Myjaka.

FUNDUSZ DARU NARODOWEGO

Muzea okręgowe informują, że do 3 maja br. przyjmują od obywateli dary w postaci dzieł sztuki, monet, biżuterii i innych cennych przedmiotów, które następnie — po sprzedaży przez Polski Dom Aukcyjny — zasilą Fundusz Daru Narodowego. Informacji udzielają i dary przyjmują muzea okręgowe w:
Białej Podlaskiej, ul. Dzierżyńskiego 12, tel. 341-28.
Chełmie, ul. Lubelska 55, tel. 256-93.
Lublinie, ul. Zamkowa 2, tel. 526-93.
Zamościu, ul. Kościuszki 48, tel. 24-83.

OGŁOSZENIA DROBNE

SPRZEDAM ciężarowy przerobiony z autobusu. Mariusz Książek, Ciecierzyn, woj. lubelskie.
32400/G

SAMOTNYCH zapoznaje Klub Korespondencyjny. Zamość, skr. 58.
1/P-2

LENTEX, szyba przednia — maluch, tel. 715-979.
32562/G

NAUKA

LINGWISTA organizuje naukę języka węgierskiego, angielskiego i niemieckiego dla wyjeżdżających za granicę. Informacje i zapisy: Lublin, ul. Strażacka 5, tel. 274-25.
29916/G-5

OŚWIATA w Lublinie organizuje kursy spawania elektrycznego i gazowego na uprawnienia dozorowe Rs, Bs, w osłonie CO_2, w osłonie argonu, przyuczające do zawodu w branży budowlanej, dziewiarskie, krawieckie, kosmetyczne, aerobik oraz inne w miarę potrzeby. Informacje i zapisy: ul. Strażacka 5, tel. 274-25 w godz. 8—15.
29916/G-4

CZWARTEK 11 STYCZNIA

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Policjanci z Miami" — „Zabójstwo na zlecenie"
10.10 Domator
16.20 Program dnia i telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kwant, a w nim „Ordy" — serial animowany prod. jap.
17.15 Teleexpress
17.30 Kalejdoskop — mag. wojskowy
17.55 „Poza rok 2000" — film dok. prod. australijskiej
18.25 Magazyn katolicki
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Dwa kosy i kurek z ratuszowej wieży
19.10 Interpelacje (1)
19.30 Wiadomości
20.05 „Policjanci z Miami" — „Zabójstwo na zlecenie"
20.55 Interepelacje (2)
21.35 Sport
21.45 Pegaz
22.30 Program publicystyczny
23.00 DT — echa dnia
23.15 Jutro w programie
23.20—23.50 Język angielski (42)

PROGRAM II

16.50 Język rosyjski (12)
17.25 Program dnia
17.30 Psychostudio
18.00 Program lokalny
18.30 Program na życzenie
19.30 Zielone kino: „Ze świata roślin" — film przyrodniczy
20.00 Wielki sport: Puchar Europy w koszykówce mężczyzn (Lech Poznań — Philips Milano)
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne „Dwójki": Hans Fallada — „Pijak", reż. Tomasz Lengren
22.45—22.50 Komentarz dnia

PIĄTEK 12 STYCZNIA

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Carscy kadeci" (2) — serial muzyczno-kostiumowy prod. ZSRR
10.35 Domator
16.20 Program dnia i telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Rambit — teleturniej
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Raport — publicystyka międzynarodowa
17.55 „Wawel Akropolis" — film dok.
18.25 Rzeczpospolita samorządna — program publicystyczny
18.50 Weekend w „Jedynce"
19.00 Dobranoc: Węgierskie bajeczki
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Wiadomości
20.05 Akademia filmowa: „Człowiek z marmuru" — dramat społeczno-polityczny prod. pol., reż. Andrzej Wajda
22.55 Sport
23.05 Kontrapunkt
23.35—23.50 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Warockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 O czym się mówi — program publicystyczny
18.50 Stop klatka — śpiewa Stanisława Celińska
19.30 Dookoła świata: W kręgu ognia i lodu
20.00 Tele-9-tka — przegląd najciekawszych pozycji regionalnych TV Kraków
20.50 Antyczny świat prof. Krawczuka
21.30 Panorama dnia
21.45 Moskiewskie Soho — reportaż
22.55 Filmy Woody Allena: „Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o seksie, ale boicie się zapytać" — film fab. prod. prod. USA
0.20—0.25 Komentarz dnia

SOBOTA 13 STYCZNIA

PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Jelonek"
10.30 DT — wiadomości
10.40 „Śladami kultur przedinkaskich" — film dok.
11.10 Bellona — wojskowy magazyn publicystyczny
11.40 Laboratorium
12.10 Smak życia — program publicystyki kulturalnej
13.05 Telewizyjny Teatr Prozy: Zofia Nałkowska — „Granica" (1)
14.20 Żyć — magazyn ekologiczny
14.45 Polityka, politycy
15.15 Filmy o miłości: „Jowita" — film fab. prod. pol.
16.45 Flesz — magazyn muzyki rozrywkowej
17.15 Teleexpress
17.30 Premie i premiery — telewizyjna giełda piosenki
18.30 Butik
19.00 Dobranoc: Przygody Misia Colargola
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Czy ochronimy?
19.30 Wiadomości
20.05 „Dziesiąta ofiara" — film fab. prod. włoskiej
21.30 Sport
21.55 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielorz
22.05 Koncert spełnionych życzeń
23.05 Telegazeta i jutro w programie
23.15—1.15 Kino sensacji: „Joe Valachi" — film prod. francusko-włoskiej

PROGRAM II

13.30 Czas akademicki — Katolicki nurt stowarzyszeń akademickich
14.00 W świecie ciszy — program dla niesłyszących
14.25 5 — 10 — 15 — program dla dzieci i młodzieży
16.00 Małe kino: „Patagońskie żywioły": „Zieleń dalekiego Południa"
16.25 Studio sport
16.55 Powitanie
17.00 Fason — program rozrywkowy o modzie
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Solidarność przeciw apartheidowi — koncert muzyki reggae
19.30 Alfa i omega: Przyroda nie zna granic
20.00 Marek i Michel
20.40 Reportaż
21.10 Muzyka i polityka: Piosenki zakazane i nakazane
21.30 Panorama dnia
21.45 „Znowu w Brideshead" (2) — serial fab. prod. angielskiej
22.35 Skąd się wziąłem, gdzie byłem?
22.50 Komentarz dnia

NIEDZIELA 14 STYCZNIA

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek, a w nim „60 urodziny Myszki Miki" (2)
10.30 DT — wiadomości
10.35 „Złoto" — odc. 5 pt. „Mit i rzeczywistość" — serial dok. prod. włoskiej
11.10 Kraj za miastem
11.40 Telewizyjny koncert życzeń
12.25 Teatr dla dzieci: Wojciech Graniczewski i Andrzej Sikorowski — „Ciuchcia z piosenkami, czyli opowieść ciotki Matyldy"
13.20 Morze
13.40 Pieprz i wanilia: Z wiatrem przez świat — Mauritius jest kolorowy
14.25 Antena
14.50 Sportowa niedziela
15.35 „Panna dziedziczka" (35) — serial fab. prod. brazylijskiej
17.15 Teleexpress
17.30 Artyści dla Rzeczypospolitej — aukcja dzieł sztuki w Zachęcie (1)
17.55 De Mono — program rozrywkowy
18.35 Artyści dla Rzeczypospolitej (2)
19.00 Wieczorynka: Siostrzeńcy Kaczora Donalda
19.30 Wiadomości
20.05 „Dekalog, sześć" — film fab. TVP
21.05 Siedem dni: Świat
21.35 Sport
22.15 Telegazeta
22.20 Premiery po latach: filmy Józefa Błachowicza — „Oblicze zbrodni" (1)
23.10 Jutro w programie

PROGRAM II

9.40 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
10.15 „Dekalog, sześć" — film fab. TVP (dla niesłyszących)
11.15 Peryskop — wojskowy program publicystyczny
11.45 Jutro poniedziałek
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 100 pytań do...
13.10 Maciej Niesiołowski: Z batutą i z humorem
13.25 Kino familijne: „Bajarz" — odc. 3 pt. „Trzy kruki" — serial prod. ang.
13.50 „Polacy" — film dok.
14.55 Podróże w czasie i przestrzeni: „Wędrówki ludów nad Pacyfikiem" — odc. 11 (ostatni) serialu dok. prod. australijskiej
15.55 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
16.10 Biografie: „Montgomery Clift — książę" — film dok. prod. włoskiej
17.10 Studio sport
17.30 Bliżej świata
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Robert i Klara — widowisko poetycko-muzyczne,
20.00 Studio sport
21.00 Program rozrywkowy
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wojna i pamięć" (20) — serial prod. USA
22.45—22.50 Komentarz dnia

PONIEDZIAŁEK 15 STYCZNIA

PROGRAM I

16.20 Program dnia i telegazeta
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
17.55 Wędrówki dalekie i bliskie: „W obronie kobiet" — film dok. prod. francuskiej
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Kot Leopold
19.10 W Sejmie i Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr Telewizji: Antonio Buero Vallejo — „Koncert św. Owidiusza"
22.05 Sport
22.15 Łowcy faktów
22.45 DT — echa dnia
23.05 Język francuski (11)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (13)
17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki" na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: Słowo łagodzi obyczaje
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 „Zmagania o Polskę" (2) — „Złudny świat" — serial dok. prod. ang.
19.30 Życie muzyczne: Konkurs Wokalistyki Operowej im. Adama Didura
20.00 Auto-Moto-Fan-Klub
20.40 Studio Hi-Fi
21.30 Panorama dnia
21.45 Gawędy Juliusza Lubicz-Lisowskiego
22.05 „Heimat" — serial prod. RFN
23.05 Komentarz dnia

WTOREK 16 STYCZNIA

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Dzień dobry i do widzenia" — film TVP
10.15 Domator
16.20 Program dnia i telegazeta
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „O chłopcu, który chciał uczyć czarowania" — film prod. NRD
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia: Skansen Europy — Albania
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka
18.15 W stronę rynku
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Od A do Z — program publicystyczny
19.30 Wiadomości
20.15 „Dzień dobry i do widzenia" — film TVP
21.10 Sport
21.20 „A jednak życie — festiwal życia" (2)
22.25 DT — echa dnia
22.40 „Dwa brzegi" — film dok.
23.15 Język rosyjski (13)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (43)
17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 Ekspres reporterów — wydanie specjalne
19.30 Kolorowy zawrót głowy — magazyn narciarski
20.00 Non stop kolor
21.00 „W kręgu sztuki" — film dok. prod. wł.
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio im. Karola Irzykowskiego
23.05 Komentarz dnia

ŚRODA 17 STYCZNIA

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Koty to dranie" — film TVP
10.25 Domator
16.00 Program dnia i telegazeta
16.05 Telewizyjny informator wydawniczy
16.25 Dla młodych widzów: Kameleon
16.50 Dla dzieci: Trąba
17.15 Teleexpress
17.30 Puchar Świata w skokach narciarskich
18.25 Dawniej niż wczoraj
19.00 Dobranoc
19.10 Oferty Pegaza
19.30 Wiadomości
20.05 Wojna i film: „Zakazane piosenki" — film fab. prod. pol.
22.00 Sport
22.10 Sensacje XX wieku
22.40 DT — echa dnia
22.55 Plus — minus — program publicystyczny
23.25 Język angielski (13)

PROGRAM II

16.55 Język francuski (11)
17.25 Program dnia
17.30 „Śpiewanie w kraju Basków" — reportaż
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Magazyn „102"
19.00 „Pokój niżej" (2) — „Bilety do teatru" — serial prod. angielskiej
19.30 „Rotarianie w Warszawie" — reportaż
20.00 Czarno na białym
20.40 Przegląd muzyczny (2)
21.00 Ze wszystkich stron: „Miasto otwarte" — reportaż o Władywostoku
21.30 Panorama dnia
22.00 „Przyjaciele" (3) — „Praca" — serial TVP
23.20 Telewizja nocą
0.05 Komentarz dnia

BIURO TURYSTYKI
TEIRGO TRAVEL
POSIADA W CIĄGŁEJ SPRZEDAŻY IMPREZY DO:
CHIN, EGIPTU, IZRAELA, MAROKA, TAJLANDII, TUNEZJI ORAZ NEPAL-INDIE-PAKISTAN.
PLANOWANE SĄ RÓWNIEŻ IMPREZY DO KENII, INDONEZJI, NA MADAGASKAR A TAKŻE
PODRÓŻ DOOKOŁA ŚWIATA
Zapisy i informacja:
Lublin, ul. Biernackiego 4, tel. 77-54-51.

relacje
ADRES REDAKCJI
20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2
20-950 LUBLIN, SKR. POCZT. 231
TELEFONY
• 215-57 • SEKRETARIAT RED. NACZELNY
• 205-34 • SEKRETARZE REDAKCJI
• 202-91 • 208-59 • 233-88 • DZIENNIKARZE •
ZESPÓŁ
EWA CZERWIŃSKA (II SEKRETARZ REDAKCJI) • MIROSŁAW DERECKI • TERESA DRAS (REDAKTOR TECHNICZNY) ZBIGNIEW DZIĘCIOŁEK • WIESŁAW HORABIK • VIOLETTA KRASNOWSKA • HENRYK PAJĄK • ANDRZEJ W. PAWLUCZUK WALDEMAR PIASECKI • FRANCISZEK PIĄTKOWSKI (REDAKTOR NACZELNY) • MACIEJ PODGÓRSKI (SEKRETARZ REDAKCJI) • WALDEMAR STĘPIEŃ (FOTOREPORTER) • LESZEK WIŚNIEWSKI (Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO) IZABELLA WŁAZŁOWSKA WSPÓŁPRACA MICHAŁ ZIELIŃSKI • JANUSZ WRONA GRAFIKA KRZYSZTOF LAMCH KOREKTA BARBARA CABAN MASZYNOPISANIE BARBARA JASTRZĘBSKA • TERESA STERLUS SEKRETARIAT ANNA WÓJTOWICZ TRANSPORT GRZEGORZ BORZĘCKI
WYDAWCA Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch".
DRUK Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0660-8830.
Ogłoszenia przyjmują: redakcja oraz Biuro Ogłoszeń i Reklam, 20-950 Lublin, al. Racławickie 1, tel. 214-23, 200-61 w. 343. Zam. 38. 9.01.90. O-5.

AD VOCEM

NIEWOLNICTWO

„RELACJE" przekazały w nr. 47 informację, że w okresie stalinowskim wykorzystano w obozach pracy ok. 10—15 mln. ludzi. „Dla porównania — kontynuuje tygodnik — w szczytowym okresie rozkwitu niewolniczego Rzymu liczba niewolników nie przekraczała 10—12 mln., a w Grecji 150 tys.". Statystyka jest, jak zwykle, rzeczą względną, ale warto zatrzymać się nad samym porównaniem.

Niewolnictwo łączone jest przede wszystkim ze starożytnością, albowiem było ono wówczas zjawiskiem tak naturalnym, że uważano je wręcz za niezbędne dla normalnego życia oraz istniejące właściwie zawsze. Początki niewolnictwa rzeczywiście trudno ustalić, ale łączy się z nimi pogląd, iż pojawienie się niewolników było następstwem zaprzestania zabijania jeńców wojennych. Oceniane więc dzisiaj jako nieludzkie, oznaczało paradoksalnie niewolnictwo w swych początkach właśnie bardziej humanitarny sposób wykorzystania jeńców. Dzisiaj wszelkie formy przymusowej pracy, zwłaszcza w obozach, uważa się nadal za niehumanitarne.

Rekrutowanie niewolników spośród podbitej ludności, wprowadzało ponadto element ich obcości. W konsekwencji panowało przekonanie (nie bez następstw prawnych), że obywatel (Grek lub Rzymianin) nie może stać się niewolnikiem u drugiego obywatela tego samego kraju. Niewola nie mogła być więc obrócona przeciwko własnym obywatelom.

Konieczne jest jednakże przypomnienie (choć zrobili to już z wdziękiem niewolnicy Isaura oraz Kunta Kinte), że niewolnictwo nie skończyło się ze starożytnością, lecz przetrwało przez średniowiecze i czasy nowożytne. Najdłużej utrzymało się w Brazylii, gdzie zostało zniesione w 1888 r. — zaledwie sto lat temu. Nie oznacza to jednak zaniku w ogóle tego typu zależności międzyludzkich, czego przykłady można znaleźć w całkiem niedawnej historii Europy.

I jeszcze jeden aspekt. Otóż w antycznych, niespokojnych czasach nie było trudno znaleźć się nagle w sytuacji niewolnika. Stąd też nieobcy był ludziom wolnym (panom) lęk przed popadnięciem w niewolę oraz lęk przed niewolnikami. Coś z tego zagrożenia chyba zostało, bo przecież i dzisiaj rządzący i rządzeni zdają sobie sprawę (a przynajmniej powinni o tym pamiętać), że mogą całkiem nieoczekiwanie znaleźć się w odmiennych rolach.

Arcus M.

Patrzenie pod kątem

MESJASZ CZY KRÓLIK DOŚWIADCZALNY?

Andrzej Z. Kowalczyk

EUROPA zaczyna oddychać z ulgą. Przestało nad nią krążyć widmo komunizmu. Coraz to nowe narody poczynają wyzwalać się spod wstrętnego czerwonego jarzma. Jeszcze kilka tygodni, no, może miesięcy, a wszystkich czerwonych szlag trafi, lub — w najgorszym razie — będzie ich można zamknąć w rezerwacie, którego stolicą będzie — powiedzmy — Tirana. Europa stanie się wspólnym domem i nareszcie zaczniemy żyć jak na cywilizowaną rodzinę przystało.

Taka oto wizja Europy nieuchronnie staje mi przed oczyma podczas lektury prasy, słuchania radia i oglądania telewizji. Wszędzie królują doniesienia z krajów — do niedawna zwanych socjalistycznymi — które dziś nagle postanowiły się przebudować. Postanowiły — ich sprawa. Jest to ich suwerenna decyzja i nie mnie ją oceniać. Nigdy bowiem nie pozwolę sobie na „ingerencję w wewnętrzne sprawy".

Muszę się jednak przyznać, iż odczuwam już pewien przesyt tą tematyką. A zwłaszcza sposobem jej prezentowania w naszych mass mediach. Oto bowiem zdecydowana większość polskich dziennikarzy donosi o przemianach w tzw. bratnich krajach w tonie euforycznym. Ponowną karierę robi odkurzone miano „Wiosna Ludów". Tym razem rozgrywająca się jesienią. Czy może to nie budzić sympatii w duszy Polaka? Pytanie jest oczywiście retoryczne.

Patriotycznym obowiązkiem w Polsce anno 1990 staje się tedy pasjonowanie tym, co dzieje się Budapeszcie, Pradze, Sofii, Berlinie czy nie-rosyjskich republikach radzieckich. Nie wypada wręcz być obojętnym wobec dokonujących się tam przemian. Ja zresztą także obojętny nie jestem. Co jednak nie znaczy, że śledzę owe rewolucyjne procesy z zapartym tchem i zaciśniętymi kciukami. Ostatnia rewolucja, której jak najgoręcej życzyłem powodzenia, odbyła się dokładnie przed dziesięciu laty w Nikaragui. Być może nie wypada się do tego głośno przyznawać, ale naprawdę życzyłem jak najlepiej sandinistom walczącym przeciwko reżimowi Somozy, ewidentnego bandyty. Dziś, o 10 lat starszy, nie mogę zdobyć się na podobny entuzjazm. Co nie znaczy — powtarzam — że jestem obojętny. Na tegoroczną jesienną „Wiosnę Ludów" patrzę otóż z pewną dozą niepokoju. A fakty zdają się wskazywać na to, iż nie jest to niepokój bezpodstawny.

Oto Litwini zamykają przed Polakami granicę. Oto Ukraińcy na swych wiecach obok herbów miast ukraińskich noszą herby Chełma i Przemyśla, a za używanie języka polskiego grożą nożem. Spotkało to we Lwowie pewnego mojego znajomego, pracownika naukowego UMCS, przebywającego tam w ramach wymiany z Uniwersytetem im. Iwana Franki. Oto odnowione władze NRD zakazują polskim turystom dokonywania w tamtejszych sklepach zakupów jakichkolwiek towarów, nawet podstawowych produktów żywnościowych na podróż. Oto obywatele tego państwa dewastują samochody należące do Polaków i coraz głośniej mówią o zjednoczeniu państw niemieckich. Niewykluczone, że w granicach z 1937 roku. Ale to wszystko są oczywiście drobiazgi, które nie mogą nam przesłonić tego niepodważalnego faktu, że wszyscy wokół bardzo nas kochają.

Tu może powstać pytanie o to, co jest przyczyną owej powszechnej ku Polakom miłości? Odpowiedź jest banalnie prosta — rzecz jasna fakt, iż to od Polski właśnie rozpoczęła się owa druga „Wiosna Ludów". Za to kochają nas i wdzięczni są nam wszyscy. Tezę taką z upodobaniem lansują rządowi (choć nie tylko rządowi) spece od propagandy, przepraszam — informacji. A wielu Polaków chętnie w to wierzy. Pozwala im to bowiem po raz kolejny w historii poczuć się Mesjaszem Narodów. Zdychającym z głodu, ale niosącym pochodnię wolności zniewolonym przez komunę sąsiadom. Takie jest — jak się wydaje — mniemanie znacznej części moich rodaków.

Ja jednak przypuszczam, iż nasi sąsiedzi inaczej nieco patrzą na Polskę. Że traktują ją nie tylko jako mesjasza czy heroinę wolności, lecz raczej jako swego rodzaju królika doświadczalnego. Odnoszę wrażenie, że bardziej od nas pragmatyczni Czesi, Niemcy, Bułgarzy, a nawet Węgrzy patrzyli na nasz kraj uważnie i zadawali sobie pytanie, na ile też Moskwa Polakom pozwoli? A że Moskwa — inna już przecież aniżeli kilka lat temu — pozwala na wiele, to i im przybyło odwagi.

Dlatego też na to wszystko, co dzieje się w Budapeszcie, Sofii, Pradze i Berlinie, patrzę bez łez zachwytu i wzruszenia. Pamiętać bowiem należy, iż przez łzy zawsze widzi się wszystko niezbyt dokładnie i wyraźnie.

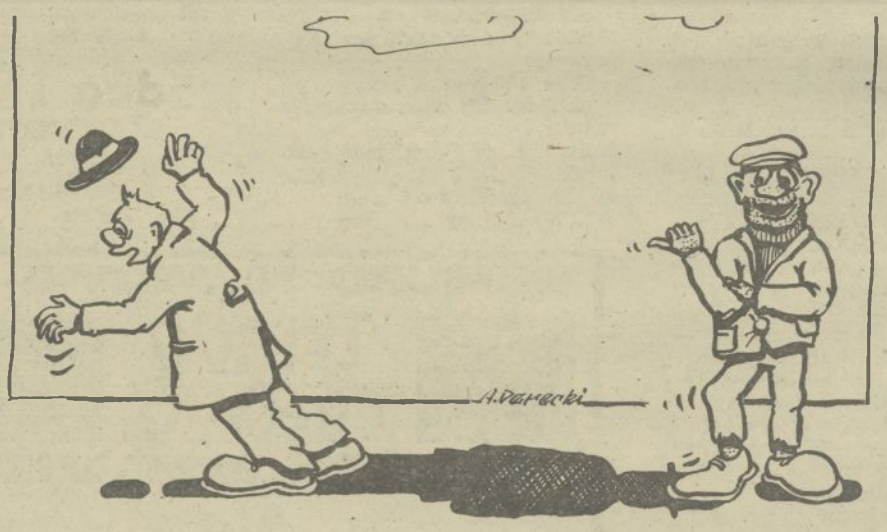

Rys. Arkadiusz Derecki

LIBERAŁOWIE NA UMCS

OBECNIE nie tylko politycy i ekonomiści zachodni odwiedzają tłumnie nasz kraj. Nie brak także pasjonatów, „apostołów idei", głosicieli rozmaitych doktryn. Ostatnio Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej gościł dwójkę profesorów, aktywnych działaczy Instytutu Studiów nad Człowiekiem (Institute for Humane Studies), placówki rozciągającej swą działalność na Amerykę Północną i Europę. Profesorowie Pierre Lemieux i Tom Palmer — obaj aktywni liberałowie — spotkali się z lubelskim środowiskiem naukowym i intelektualnym. Nadzieję budziła głęboka, choć nieoczekiwana, zbieżność poglądów gości i gospodarzy, co do konieczności oparcia post-totalitarnego ładu w krajach Europy Wschodniej na zdrowych podstawach liberalnego kapitalizmu. Amerykański instytut posiada dwa główne europejskie centra w Paryżu i Wiedniu, skupia w swych szeregach ponad 1200 profesorów, organizuje kursy, seminaria naukowe, wymianę studentów. W obliczu strukturalnych przemian w naszej gospodarce, dryfujących właśnie w stronę modelu proponowanego przez panów Lemieux i Palmera, uniwersytet wykazał się wyjątkową czujnością. Oby więcej takich spotkań. Nam — wychowanym na doktrynie monolitu światopoglądowego — potrzeba właśnie takiej pluralistycznej „burzy mózgów".

(W. H.)

W NUMERZE 3. OPUBLIKUJEMY:

● DZIEJE KUNCEWICZÓW ● POLSKIE SŁOWO W USA ● „OWCZARNIA 1944" — MORD NA AKOWCACH ● TELEWIZJA NOCĄ ● ŻYDZI, ENDECY I... KRZYSZTOF WOLICKI ● PRZEMYT PRZEZ TERESPOL ● DOKTOR Z PRACY WYRZUCONY ● PARASOLE I PARZYGNATY CZYLI JAK SIĘ NIEGDYŚ JADŁO I PIŁO

JUBILEUSZ

W UBIEGŁYM roku Estrada Lubelska obchodziła tzw. okrągły jubileusz — stuknęła jej czterdziestka. Z tej to okazji dyrektor wspomnianej instytucji uhonorowany został wysokim odznaczeniem państwowym, instytucja zaś — jako całość — honorowymi odznakami regionalnymi. W klubie „Pod Strzechą" odbył się także okolicznościowy bankiet.

●

Od wielu już lat, jesienią, organizowany jest w Lublinie przegląd imprez pod tytułem „Prezentacje". Firmuje go Estrada Lubelska. W swej naiwności sądziłem, że jubileusz szacownej tej firmy mocno zapisze się w pamięci spragnionych dobrej rozrywki lublinian. Myliłem się. W roku swego jubileuszu Estrada w ramach „Prezentacji" zapowiedziała cztery imprezy, a pokazała dwie. Niezbyt zresztą wysokiego lotu. Np, ale w sprawozdaniach będzie można wykazać, że „Prezentacje" odbyły się i w tym roku.

●

Co starsi czytelnicy pamiętają jeszcze być może nazwisko Kazimierza Grześkowiaka. Otóż spieszę donieść, iż artysta ów wciąż jeszcze żyje, ba — jest czynny, zawodowo, o czym wiedzą mieszkańcy całej Polski. Grześkowiak bowiem nadal koncertuje, i to z powodzeniem. Oczywiście poza Lubelszczyzną. Dlaczego nie można go zobaczyć i posłuchać u nas (a mieszka w Lublinie) — wie zapewne tylko dyrektor Estrady Lubelskiej.

●

W tym miejscu powinien znaleźć się komentarz. Nie będzie go jednak. No comments — mawiają dyplomaci, gdy wszelkie komentarze są rzeczywiście zbyteczne. Lubelskiej Estradzie składam najlepsze życzenia jubileuszowe.

(kow)